

Rozweselę Cię. Spełnię Twoje marzenia...



MICHAŁ KLIMASZEWSKI

DAWCA © Michał Klimaszewski

© for the Polish edition by Wydawnictwo Hm...

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórców.

Pod redakcją: D.B. Forys

Redakcja: Beata Sagan-Szendzielorz

Korekta: Monika Foltman

Projekt okładki: E.Raj

Skład: Marcin Halski

ISBN: 978-83-68177-02-2

ISBN E-BOOK: 978-83-68177-03-9

Wydanie pierwsze

Wojkowice 2024

Wydawnictwo Nie powiem

E-mail: redakcja@niepowiem.com.pl

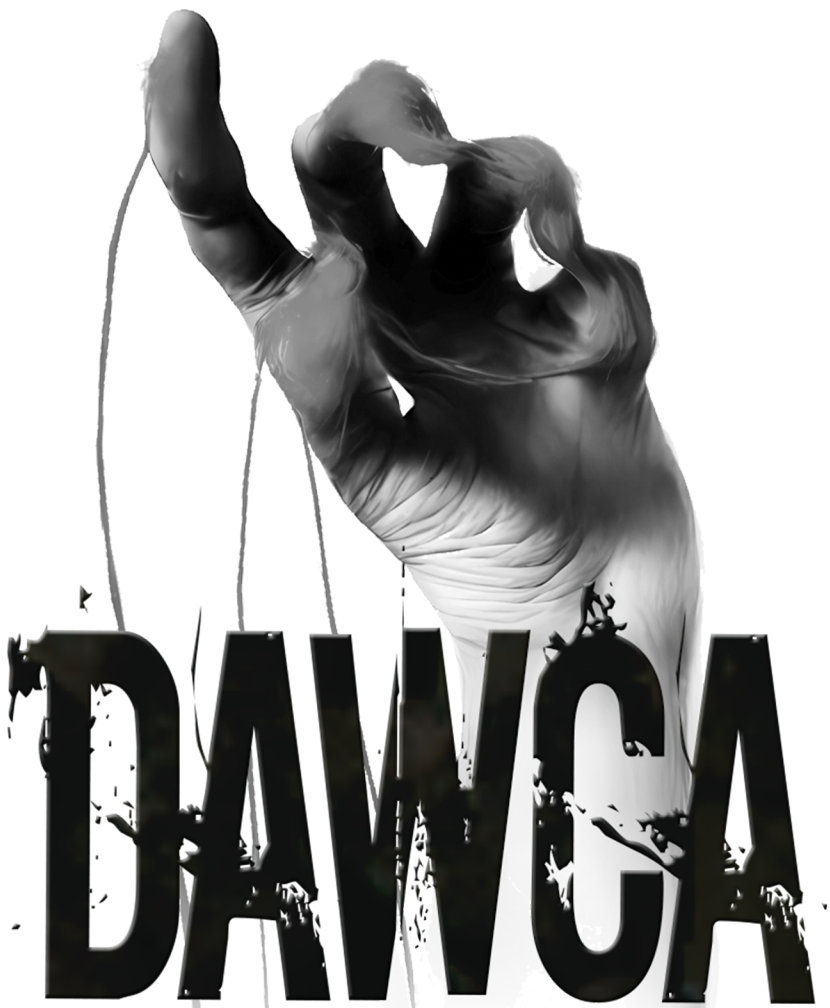
Telefon: 518833244

Adres: ul. Sobieskiego 225/9, 42-580 Wojkowice

Druk i oprawa:

OSDW Azymut Sp. z o.o., Łódź, ul. Senatorska 31

www.niepowiem.com.pl



MICHAŁ KLIMASZEWSKI

Wojkowie 2024

NIE
POWIEM

Dla Ani i Mateusza



Skąpana w mrokach nocy autostrada A4 zdawała się pochłaniać energię z otoczenia. Droga ta była ważna dla niemieckich, jak i polskich firm, ze względu na utrzymanie płynności dostaw dla kontrahentów. Tym sposobem niemal zawsze był tutaj ruch, zwłaszcza ciężarówek, a na przylegających do niej parkingach często zakotwiczały scanie oraz many.

Śmierdziało.

To była kolejna urokliwa zaleta tej trasy. Na wysokości Kątów Wrocławskich śmierdziało chemikaliami, w samym Wrocławiu zaś – spalinami. Na odcinku od Legnicy do Bolesławca latem czuć było gnojówkę, którą rolnicy wyrzucali blisko autostrady, w samej Legnicy natomiast codziennie unosił się charakterystyczny zapach siarki. Nawet w tak paskudne, deszczowe listopadowe dni, dolatywał swąd z huty miedzi (jedynej w regionie, a robiącej najwięcej zamieszania).

Niemniej stałym mieszkańcom było to bez różnicy.

Okolica spała i to bardzo głęboko, rozkoszując się podarowanym czasem wolnym. Nie bez powodu Bóg stworzył noc, prawda? Od czasu do czasu tę ciszę zakłócali kierowcy taksówek, którzy właśnie w okolicach zjazdu z A4 mieli swój postój oraz hałasująca młodzież.

Jednym z pasów zjeżdżało się z autostrady na drogę wojewódzką prowadzącą do samego centrum Legnicy. Obok zjazdu znajdował bar

z parkingiem dla tirów, a przy nim motel i stary magazyn dla towarów niebezpiecznych. Całość oświetlało jedynie kilka latarni.

Mariusz Rybus miał właśnie nocny dyżur na taksówce.

Mężczyzna był typowym pięćdziesięcioletkiem, któremu nie przeszkadzało życie na niegościnnych przedmieściach, a pensja z taksówki szła na czynsz i piwo w sklepie Mości Pan. Te dwie rzeczy były priorytetowe, szczególnie jeśli było się kawalerem i miało do dyspozycji jedynie swój wóz. Zgodnie z oczekiwaniami społeczeństwa taksówka powinna być wyłącznie miejscem pracy, a nie mieszkaniem.

I tak Mariusz palił papierosa, słuchając kolejnych wiadomości o wszystkim i o niczym, jak to zwykle bywa o trzeciej w nocy. Czasem zdarzały się retransmisje wywiadów Roberta Mazurka z politykami, podczas których prowadzący nie zostawiał na swoich rozmówcach suchej nitki.

Gościu był w tym dobry!

Nie zmieniło to faktu, że Mariuszowi cholernie się nudziło, zwłaszcza wtedy, kiedy nie było zjazdów. W piątki zazwyczaj wracali pracownicy z Niemiec, a konkretniej ze Zgorzelca i Goerlitz, w związku z czym zapotrzebowanie na transport wzrastało ponad normę. Podobnie było w niedziele i poniedziałki, kiedy to wracali ci „weekendowi”, mianowicie studenci i uczniowie, a także młodzież, która imprezowała za granicą, u zachodniego sąsiada. W tygodniu jednak nie zdarzało się nic ciekawego, z wyjątkiem kilku kursów z bogatymi mężczyznami, chcącymi pojechać sobie na panienki (tych tutaj również nie brakowało, o ile wiedziało się, gdzie stoją).

Cholerne gnojki, pomyślał Mariusz, kiedy po drodze wojewódzkiej przejechał samochód, z którego dobiegała głośnie muzyka. Widział za szybami radosne twarze młodych chłopaków z okolicznej Złotoryi, udających się na balety do sąsiedniej Legnicy.

Nie jest to chluba narodu, pomyślał jeszcze i zaczął wspominać młodość, kiedy to nie było telefonów komórkowych i tej całej „nowoczesności”. Zatracając się w tych wspomnieniach, zapomniał na chwilę o papierosie. Właśnie w tamtym czasie doświadczył kilku innych rzeczy, w tym samotności. Dlatego też widok młodzieży w samochodzie nie przypadł mu do gustu.

Zaklął i odpalił kolejnego papierosa.

Pojawił się od strony autostrady. Uśmiech nie schodził mu z umalowanej twarzy. Och, jakże to był paskudny widok! Mieszanka czerni, bieli i czerwieni, która pomimo deszczowej pogody trzymała się uparcie jego skóry, jakby ostatniej deski ratunku. Jednak ktoś stojący z boku widział głównie czerwony garnitur, wpasowujący się idealnie w standardy trupy cyrkowej, oraz prześmieszny kapelusz rodem z Las Vegas. Było to tym bardziej dziwne, że cyrku w tej okolicy nie było od wielu, wielu lat, nie licząc sejmików wojewódzkich, gdzie politycy urządzali comiesięczny spektakl.

Ustalmy jednak na początek, że przybyły jegomość politykiem był żadnym, a jego garnitur przypominał raczej ten, który Jim Carrey nosił, grając w filmie *Maska*, z tym że ten był czerwony, a nie żółty, ale zamierzenie było to samo – miał rozweselać.

Kiedy Bartek go zobaczył, doznał nieodpartego wrażenia, że widzi coś złego, coś anormalnego. Bo w istocie nie było to normalne, jednak jeszcze w granicach rozumu. Widywał już różnych dziwaków na dworcu w Złotorzy, czy też na głównym dworcu we Wrocławiu. Tamci byli naćpani, albo pijani. Ich widok przyprawiał go o niezrozumiałe uczucie złości, podobnie jak upośledzeni. O ile jednak upośledzonym często jest się nie z własnej winy, o tyle pijakiem czy narkomanem jest się z wyboru. W pamięć najbardziej zapadł mu gościu w średnim wieku, którego spotkał już kilkukrotnie we Wrocławiu. Był to taki człowiek, o którym mówi pewne powiedzonko: „Jeśli żuł jedzie tramwajem, to tramwaj jedzie żulem”. Mężczyzna ten kiwał ciągle głową jak przejęty i gadał sam do siebie. Zawsze się przy tym uśmiechał, o ile się akurat nie wkurzył.

Pamiętał jeden z takich przejazdów, linią tramwajową numer 9, kiedy mężczyzna ten wydarł się na całe gardło na kogoś, kto go obserwował. Przy czym osoba ta stała na chodniku, a nie znajdowała się w tramwaju, i zapewne miała na głowie ważniejsze rzeczy, niż gapienie się na odklejonego od życia mężczyznę jadącego tramwajem. Taki był właśnie Wrocław i do takiego chyba Bartosz już przywykł, zważywszy, że mieszkał tam już czwarty rok.

Złość, jaką w Bartku wywoływał widok tego typu odmieńców, była motywowana wspomnieniami właśnie takich przypadków, kiedy to „tramwaj jechał żulem”.

Chłopak był studentem i większość tygodnia spędzał właśnie we Wrocławiu, ale pod koniec listopada zajęć było zdecydowanie mniej i częściej mógł być w rodzinnej miejscowości, a tym samym oddawać się rozrywce wraz ze swoimi znajomymi.

Tego dnia jednak nic nie pił, nie ćpał, ani nie palił skuna, choć widok męzczyzny w czerwonym garniturze na A4 wydawał się być efektem mocnego substytutu.

Podobnie myślał Adrian, kumpel Bartka, który jechał z tyłu, za kierowcą.

Chłopak z kolei pracował w fabryce Borgersa, na strefie złotoryjskiej. Poza nim w rodzinnym mieście pozostało niewielu młodych ludzi. Dlatego każdy przyjazd kumpla, studiującego we Wrocławiu, był idealną okazją do obgadania zaległych tematów, kilku spotkań ze znajomymi z podstawówki czy gimnazjum oraz do resetu.

Reset był ważny.

Adrian nie pił. Lubił zapalić i czasem wciągnąć, ale nie pił i nie dał się namówić nawet teraz. Jego koledzy, siedzący z tyłu, sypali właśnie kreskę mety na telefonie jednego z nich, ale dzisiaj Adrian nie chciał nawet tej kreski, od kiedy na orlenie zobaczył patrol pał i znienawidzonego policjanta, Jurę. Adrian i Jura nie lubili się od dawna.

Teraz Adrian dostał kolejny powód, aby nie wciągać dzisiaj nic, a nic. Był nim ten czubek w czerwonym garniturze i z makijażem, jak u panienki... Chociaż w tym makijażu bardziej przypominał klauna niż dziewczynę rodem z Instagrama czy Snapchata, z idealną kompozycją różnych kremów i filtrów. Mimo iż Adrian nie należał do mięczaków, a raczej był typem agresora, nie miał jaj, żeby to jakkolwiek skomentować.

Podobnie jak Bartek oraz Rafał, Szymon i Gabriel. Jedynie ostatni z nich powiedział:

– Dzięki Bogu, że jesteśmy w aucie.

* * *

Zapamiętał tablice.

Zapamiętał je, jak pamięta się swój pierwszy raz. Pierwszy seks, pierwszy raz z alkoholem, pierwszy pocałunek czy pierwszą pracę.

Miał to w naturze, chociaż już od dłuższego czasu przyznawał sam przed sobą, że podchodzi to pod paranoję.

Najważniejsze w tym wszystkim, by mieć na sobie dobrze zszyty garnitur, a na twarzy uśmiech. Wychodził z założenia, iż prawdziwy mężczyzna – nie ważne, w jakiej znajduje się sytuacji – musi dobrze wyglądać.

Mężczyzna czuł w sobie nikłe drgawki, jakich doświadcza się przed ważnym wydarzeniem. A ono się właśnie zbliżało. Czuł to w kościach. Zestresowany facet to często źle myślący facet, który podejmuje złe decyzje w złym czasie. Z reguły, gdy mówi się: „zły czas”, to odnosi się to chęci posiadania dziecka.

Inaczej jest z kobietami, dla nich odpowiedni czas jest zawsze, o ile ma z kim je zrobić.

Zaśmiał się.

Kierując się w stronę zajazdu miał w głowie jedno – jedzenie. Dużo jedzenia. Mógłby zjeść nawet dziesięć tysięcy kalorii w samym oleju, byleby mieć coś, co doda nieco sił. Nie chciał po raz kolejny żywić się tylko ochłapami na zmywaku lub tym, co można kupić za nędzną rentę. To była ujma na honorze. Marzył mu się dobry posiłek, najlepiej taki sycący już po pierwszym kęsie. Takie zazwyczaj podają w fast foodach, którym daleko do zdrowej żywności. Wciągnął powietrze do nozdrzy i wyłapał zapach smażonego oleju, który roznosił się po okolicy.

Raz, dwa, trzy..., mówił w myślach. Liczenie nie szło tak, jak powinno, a gdy wspominał jedzenie, robiło się mu niedobrze. Coś się schrząniło, było zepsute i nie dało się tego przetrwać. *Baba Jaga* patrzy..., dopowiedział sobie.

Jedzenie.

To było to, co utkwilo mu w głowie i co zostało po tej feralnej nocy – po nocy pełnej wrażeń, kiedy to zatapiał się w mroku przeszłości i widział obrazy, których nie chciał już oglądać. A wtedy stawała mu przed oczami kobieta o pięknych włosach i anielskiej twarzy. Nie jadał wtedy najlepiej i może ten zapach oleju, rodem z KFC, a może właśnie głód, spowodowały, że naszły go refleksje. Wspominał to, co powiedziała mu żona:

– Nie będziemy przecież jeść zupek chińskich!

– Tak, skarbie, nie będziemy – odpowiadał, ale nie chciała słuchać. Nikt nie chciał zrozumieć.

Jedzenie zupek chińskich nie jest takie złe. Poza tym, że mają dużo kalorii, są w zupełności wystarczające. Nikt nie patrzy na tłuszcze nasycone czy kalorie, ani nawet na substancje niebezpieczne. To irracjonalne, nie są przecież kulturystami.

A więc kierowany głodem, znalazł się przy drodze wojewódzkiej à la krajowej 364, gdzie zmierzał do baru dla kierowców taksówek, tirów oraz pracowników, czekających na transport. Widział też niektórych kierowców, którzy czekali na kurs, bądź wypoczywali w nikłym świetle lamp na parkingu.

* * *

Fredrik Mortorsen był kierowcą firmy transportowej DHL. Jego praca wiązała się z przerwą na osiem, dziewięć godzin dziennie, aby w spokoju się przespać i zjeść porządny posiłek.

Wyszedł z ciągnika tira, aby w środku nocy rozprostować nogi i zapalić papierosa. Te tutaj, to był szajs, za to niemieckie – to było dopiero coś!

Tej nocy miał mieć zapewniony nocleg we Wrocławiu, a nazajutrz rano wyruszyć do Opola i stawić się na magazynie do godziny czternastej. Jednak plan uległ zmianie, w związku z przestojem na granicy. Przejście graniczne na A4 było teraz pilnie kontrolowane, gdyż w pobliskiej miejscowości doszło do tragicznego zdarzenia – ktoś zamordował kobietę i dwójkę dzieci. Służby obawiały się, że sprawca będzie chciał uciec do Polski.

Fredrik miał na to swoją teorię, natomiast skutki wstrzymania ruchu i kontroli odczuwał nie tylko on, ale również jego firma. Mimo iż był dopiero koniec listopada, wiele osób wysłało już paczki do swoich krewnych. Było to dla niego bez znaczenia, tak samo jak to, iż DHL będzie miał poważne opóźnienia na sektorze Wrocławia czy Opola.

Trasę zakończył około północy, kiedy to na wysokości Chojnowa musiał zjechać, żeby znaleźć dogodne miejsce na postój. Ta składnica nadawała się do tego idealnie, aczkolwiek zawsze wyrabiał się do samego Wrocławia. W kilkunastoletniej pracy raptem raz lub dwa razy zdarzyło się mu spędzić noc w zajeździe Orlik za Legnicą.

Nie miał na co narzekać. Choć przyjechał o północy, dostał ciepły posiłek i to w całkiem przyzwoitej cenie. Nie robiło mu różnicy, czy trzeba było płacić w euro, czy w złotówkach, wszystko pokrywała firma.

Popalając papierosa, rozmyślał o swoim życiu.

Pochodzący z Bawarii Fredrik był od zawsze niespokojnym dzieckiem, a potem dorosłym mężczyzną. Jego rodzice wróżyli mu przyszłość sportowca, jednak zamiast sportem, interesował się motoryzacją. Jednym z jego ulubionych programów był angielski *Top Gear*. Od małego też pomagał w różnych warsztatach, a z tego miejsca była bliska droga do ciężarówek. Podobały mu się chyba nawet bardziej niż kobiety.

Był zresztą homoseksualistą, ale nigdy tego nie przyznał sam przed sobą.

Poprzedniego wieczoru, kiedy nocował jeszcze swoim domu, miał dziwne przeczucie, że tej doby będzie miał przygodę. Przygodę, której być może nie zapomni do końca życia. Początkowo myślał, iż chodzi o kontrolę na granicy. Kiedy jednak dotarł tutaj i zjadł dobrą kolację, stwierdził, iż to było tylko złe przeczucie.

Błąd!

Przyglądając się dziwnie ubranemu mężczyźnie, początkowo sądził, że to zwykłe zwidy, a potem przypomniał sobie tamto uczucie, którego doznał dzień wcześniej. Dreszcz przeszedł mu po ciele, a drżąca dłoń przytknęła papierosa do ust. Nie wierzył w coś takiego, jak przeznaczenie, ani w los. Dla niego świat był pełen zbiegów okoliczności, był o tym przekonany nawet teraz, kiedy czerwonawy kształt zmieniał się bardzo szybko w mężczyznę w garniturze.

Wstał tego dnia z mieszanymi uczuciami i teraz – widząc tego faceta – odczuwał strach. Od mężczyzny emanowało na kilometr złą energią, co potęgował otaczający go mrok, który panował w tej okolicy.

* * *

Kiedy zobaczył taksówkarza próbującego odpalić papierosa, naszła go refleksja.

Co by było, gdyby teraz podpalił mu bluzę? Zaciekawiał się, jakby to wyglądało – taka ludzka, żywa pochodnia. Niczym ten bohater z *Fantastycznej Czwórki* od Marvela. Może warto sprawdzić? Uwielbiał

kreacje Chrisa Evansa i z wielką przyjemnością zobaczyłby ponownie nową odsłonę z tymże aktorem. Jak się jednak nie ma, co się lubi, to się kradnie, co popadnie. Płomień z zapalniczki lekko się kołysał na niewielkim wietrze, deszczowa pogoda zaś przygnębiała nie tylko taksówkarza, ale też idącego obok mężczyznę. Nie dawał tego po sobie poznać, ponieważ jego twarz zdobił uśmiech.

Myśli przesłaniało mu coś innego...

Jedzenie...

I właśnie to nie pozwalało wyjść naprzeciw intencji umysłu. Wpierw liczył się instykt, a ten nakazywał mu się posilić. Światło lamp odbijało się od maski starej bory i padało na jego twarz, nadając jej trupio blade odcień, jaki przybierał Jerry Only z Misfits.

Wielki neon zwiastował całodobowy bar dla kierowców, a w jego świetle widać było właśnie te kilka taksówek i tirów, stojących na parkingu.

Idąc przez parking, minął Fredrika, ten z kolei przypatrywał się mu przerażonymi oczami. Nie lubił tego. Również wlepił w niego swoje zamazane ślepią i odniósł wrażenie, że ten kierowca ciężarówki jest...

Jest smaczny...!

Przerażony?

Nie, nie jest smaczny, ale jest przerażony. Śmierdział tym na kilometr. Wszyscy tutaj byli przerażeni. Czuł odór siedzącego w volkswagenie mężczyzny oraz chesterfielda, którego ten nieudolnie próbował odpalić. A potem na pierwszy plan wysunął się zapach strachu kierowcy z Niemiec.

Lekkim krokiem podszedł do niego i zmierzył go wzrokiem.

– Coś taki wystraszony? Klauna nie widziałeś? – zapytał lekko poirytowany.

Kierowca drgnął niespokojnie, czując oddech tego człowieka, który wyglądał jak maniakalny klaun z Terrifier, jednak nieco bardziej fanatycznie. Nie rozumiał też języka, którym posługiwał się przybysz, dlatego jedyne, na co się zdobył, to pytanie:

– Was?

Mężczyzna roześmiał się ponuro.

Włos zjeżył się Fredrikowi nie tylko na głowie, ale również na plecach i wszędzie tam, gdzie włosy jeszcze były. Kontrola na granicy – ile by dał, by znowu stresować się tylko tak, jak na tej kontroli. Boże, jaki

to był paskudny śmiech. Niby przytłumiony, ale czysty, niby szczery, ale jakby wymuszony, w każdym razie – przerażający.

Przyglądając się w jego oczom, czuł, że spada bardzo głęboko, jak spadać można tylko w snach. Nogi się pod nim lekko ugięły, a napór emocji spowodował, że upuścił niedopalonego papierosa.

– *Ich bin* Baba Jaga – powiedział mężczyzna półszepsem.

Przez ułamek sekundy wydawało się, iż wszystko potoczy się tak, jak powinno. To znaczy – kierowca podniesie papierosa i spali do końca, a następnie pójdzie do kabiny, aby spać do samego rana, mężczyzna w garniturze zaś uda się do baru i zaspokoii apetyt.

Przez jedną cholernie długą chwilę wszystko na to wskazywało, Fredrik sięgnął bowiem po papierosa, a ten człęk odwrócił się od niego. Owszem Fredrik Mortorsen wylądował w swojej kabinie i był tam do samego rana, klaun natomiast poszedł zaspokoić apetyt do baru.

Teoretycznie wszystko przebiegało normalnie.

* * *

Mariusz zdał sobie sprawę, że może mieć problem z alkoholem, kiedy zobaczył w lusterku, jak ten człowiek podchodzi do kierowcy tira i zatrzymuje się tak blisko jego twarzy, że mógłby spokojnie go pocałować.

Obaj byli wysocy na prawie dwa metry, ale o ile kierowca tira prezentował szczupłą sylwetkę, o tyle przybysz był dobrze zbudowany, a garnitur wyraźnie opinał jego ciało. Przewaga masy, jak i zapewne siły, była po jego stronie, dlatego ich bliski kontakt zdumiał kierowcę taksówki. Spodziewał się, że zwiędczą go pocałunkiem.

Cholerne pedały, pomyślał.

Nie lubił tego rodzaju ludzi, tak jak nie lubił zakochanych.

Odkąd był nastolatkiem, kobiety odtrącały go, ze względu na jego krzywe zęby i zawsze przetłuszczone włosy. Jedna nawet wyśmiała jego nos, który nie pasował do całej twarzy. To wpędziło go w kompleksy, a kompleksy w alkohol. Alkohol z kolei wpędził go w brzuszek piwny i łysienie. Tym sposobem skończyły się jego próby podbijania do pańienek w jakikolwiek sposób, no chyba że w dyskotekach, do których i tak już nie chodził.

Kierowca ciężarówki schylał się, zdaje się po papierosa, a umalowany facet odwrócił się na chwilę, po czym szybkim ruchem kopnął kierowcę w twarz, powalając na plecy.

Fredrik nie wydał z siebie żadnego dźwięku, poza cichym jęknięciem. Nim zdobył się na jakikolwiek ruch, szybkie uderzenie pięści pozbawiło go przytomności oraz kilku zębów, jak ustalono później. Kolejny cios spadł na klatkę piersiową i połamane żebra. Kopniak w bok głowy rozwalił boczną płaszczyznę czaszki, wszystkie inne ciosy zaś nie miały już najmniejszego znaczenia. Obrażenia wewnętrzne były zbyt duże, aby uratować Fredrika, który doznał krwotoku wewnętrznego, gdyż kawałek żebra utkwiał mu w lewym płucu. Paskudna sprawa.

Mariusz z przerażeniem zorientował się, iż ponownie papieros mu przygasł, a całość nie trwała dłużej niż kilka, kilkanaście sekund. Niedopałek sterczał mu z ust.

Sparaliżowało go, kiedy oprawca śmiał się nad zwłokami i z niebywałym opanowaniem wycierał ręce o ubranie kierowcy. Następnie rozejrzał się, na co Mariusz skulił się na swoim siedzeniu, zamiast odjechać i wezwać służby. Strach przeniknął go do szpiku kości i jeśli nawet byłby w pełni sprawny i znowu miał te dwadzieścia kilka lat, na pewno nie ruszyłby się z miejsca.

Gdzieś już widział coś podobnego, w jakimś horrorze pokroju *Terrifier*, w którym klaun morduje ludzi w Halloween. Ale to nie było święto zmarłych. Był pieprzony koniec listopada, za niedługo święta Bożego Narodzenia, a wraz z nimi prezenty i choinka. Nieważne, że nie ma od kogo dostawać prezentów, ale ma choinkę. Mariusz Rybus ma pieprzoną choinkę, a więc będzie obchodził święta.

Zebrał się w sobie. Przez chwilę nie oddychał, tylko w lusterku obserwował to, co działo się kilkanaście metrów od niego. Jak na złość, był teraz jedynym znajdującym się w swoim wozie kierowcą, inni najpewniej spali smacznie w kabinach swoich tirów.

Ku jego zdumieniu, sprawca całego zdarzenia z niebywałą lekkością dźwignął rosłego mężczyznę na ramiona, po czym otworzył kabinę scanii i wrzucił tam ciało.

Lekkość i opanowanie.

To budziło przerażenie. W swoim pięćdziesięcioletnim życiu widział już bójkę, kiedy to nawet jednym ciosem odsyłano gościa do szpitala, ale wtedy dokonywał tego pijany bokser lub zawodnik MMA,

a nie cyrkowiec – nawet mu ręce nie zadrżały, a przynajmniej Mariusz nie widział tego z tej odległości. Nie widział też, czy mężczyzna dalej się uśmiecha, ponieważ zdjął kapelusz i poprawił sobie włosy do tyłu, a następnie spokojnie skierował się do baru, którego neony odbijały się od pojazdów, znacząc niebieskim światłem parking i restaurację.

Mariusz postanowił, że już żadnej nocy nie będzie narzekał na nudę w pracy.

* * *

Jeść.

Tylko to było mu teraz w głowie. Apetyt na coś niezdrowego, na coś dobrego, pokroju burgera, frytek i coli. Pasibus to to nie był, ale na pewno znajdzie się kawałek kotleta lub ziemniaka. Kierowcy, wbrew pozorom, źle nie mają. Może będą frytki? Może ziemniaki pieczone?

W Berlinie furorę robiły kebaby, tak jak w większych miastach w Polsce, jednak to nie było to samo, co zwykły, sprawdzony burger i przepyszne frytki, najlepiej takie jak w McDonald's. Długa droga za nim, a po długiej drodze trzeba się dostatecznie posilić. Tak, posilić i wypocząć, jak to się robiło i robi od dawien dawna. Z baru wyszło dwóch taksówkarzy.

Nieświadomi swojego szczęścia narzekali na brak ruchu i nudę. Klientów mieli najwięcej w piątki oraz w niedziele i poniedziałki. Gdyby jednak zdecydowali się zostać w barze, na pewno (podobnie jak Mariusz) już nigdy więcej nie zrzędziliby na te niedogodności.

Jeść, myślał umalowany człowiek i uśmiech zniknął mu z twarzy, a zastąpił go ponury wyraz napięcia. W głowie szerzyła się pewna złowroga myśl, czy aby na pewno to, co teraz robi, jest tak dobre i tak ważne dla niego. Możliwe, że nie myśli teraz racjonalnie, jakby pewna cząstka niego zwariowała i uwolniła coś, co w rzeczywistości nie powinno było wychodzić...

Apetyt... Pragnienie czegoś, co było skrywane od dłuższego czasu, czego właśnie apetyt był przenością. Bo przecież nie wszystko jest takie proste. Nie wszystko jest czarno-białe, czasem widzimy kolory tęczy, jak czerwień na ustach, szarość na szyi i niebieskie żyły pod koszulą. Czasem widzimy też zielonkawe lub niebieskie włosy wystające spod kapelusza rodem z westernu.

Wzdrygnął się na wspomnienie tych filmów.

Zachodząc do tego baru, oczekiwał pewnych rzeczy. Oczekiwał, że będą ludzie, najlepiej kilku, i oczekiwał jedzenia. Niczego więcej, co mogłoby przeszkadzać.

Pchnął więc masywne drzwi i stanął w wejściu do baru Via.

Wystrój był bardzo ubogi, jak na jedzenie, które serwowali w tym miejscu. Kilka stolików, niewiele więcej krzeseł i do tego długa lada, jak w amerykańskich lokalach. Na ścianach wisiały grafiki i obrazy nowoczesnej kultury zachodu.

Bo przecież Polska taka „zachodnia”, jak Rosja pokojowa, zakpił w myślach i na wspomnienie kolejnego filmu z Johnem Wayne, przeszedł go zimny dreszcz po plecach.

Zamknawszy za sobą drzwi, bez słowa skierował się do kontuaru, przy którym obsługiwał osławiony (ze względu na wygląd) Janek Gawel. Mężczyzna w średnim wieku, bez jednego oka, które zasłaniał przepaską, niczym pirat.

Poza nim w pomieszczeniu znajdowało się jeszcze dwóch taksówkarzy i jeden tirowiec, którzy przy piwie i coli grali w karty. Kolejno Dominik Pienik, Patryk Raczyński i Filip Stachowiak.

Ostatni z nich kantował i to bardzo, w związku z czym pozostała dwójka przewaliła już niemal całą dniówkę, którą udało im się wypracować. Taksówkarze skończyli swój dyżur o północy, jednak Filip namówił łasych na zyski młodzianów na kilka partyjek, skutkiem czego czyścił ich z pieniędzy.

Janek pozostawał na to obojętny, chociaż doskonale wiedział, jakim graczem był Stachowiak.

– Co dla ciebie? – zwrócił się do przybysza, który w niezbyt dobrze oświetlonej sali nieświadomie chował swoją twarz. Dopiero kiedy mężczyzna zwrócił się ku niemu, Janek zorientował się, iż nieznamy znacząco odbiega wyglądem od innych bywalców lokalu.

Gawel nie lubił takich. Od czasu rewolucji hipisowskiej, jego ojciec był zagorzałym przeciwnikiem amerykańskiego ducha postępu. Nie widział w tym przyszłości i to pomimo tego, że jego syn pasjonował się wszystkim, co „zachodnie”. Upodobał sobie filmy, takie jak *Pulp Fiction*, *Liberator* czy *Oddział Delta*, a już w szczególności kochał barowe scenki. Powodem była wszechobecna nuda, jakiej zdążył się już najeść w województwie dolnośląskim.

Kiedy jednak przestał lubić umalowanych typów? Sam nie wiedział. Prawdopodobnie wtedy, kiedy dwójka takich „kłaunów” w maskach obrabowała go w Londynie, podczas urlopu.

Ten zaś tutaj nie krył się ze swoim wyglądem, ściągnął wysublimowany kapelusz z głowy i przeczesał bujną, zielonkawą czuprynę, jakby chwaląc się unikatowymi kolorami. Nie wpłynęło to na Janka inaczej, niż gdyby zobaczył bandę dzieciaków z makijażem. Pieprzeni modernści! Lubił zachód, ale nie taki współczesny, tylko bardziej oldskulowy.

– Frytki i cola – powiedział przybysz dźwięcznym, lekko ochrypłym głosem. – Macie coś z mięsa?

– Hamburgery. Podać?

Umalowany mężczyzna skinął głową, a Janek czym prędzej zniknął za drzwiami dla personelu, żeby szybko przygotować zamówienie dla klienta. Im szybciej mu poda, tym szybciej ten człek opuści bar i być może nic się nie stanie, a już jutro będą się wszyscy śmiać z tej opowieści. Nie żeby się bał, ale kto dzisiaj maluje tak twarz? Albo ktoś szukający uwagi, albo nastolatki walczące z depresją i nerwicą.

Tylko podać mu tego hamburgera. To chyba niewiele?

Klient cierpliwie czekał, rozkoszując się nieskazitelną ciszą. Przerwały ją okrzyki grającej w pokera grupki przy stoliku. Działo się tam teraz prawdziwa wojna nerwów, Filip bowiem raz za razem podbijał, a tym samym zgarnął sporą sumkę. Z lubością oglądał, jak rosły kierowca tira obwinął sobie wokół palca młodych taksówkarzy, którzy trwonili kolejne dziesiątki złotych w morzu hazardu.

Dostrzegął teraz to, co dostrzegął Janek.

Oszustwo i kantowanie na każdym kroku, z wykorzystaniem zarówno rękawów, jak i spojenia stolika, w którym trzymał swoją szczęśliwą kartę. Przypominało to trochę siedzenie na świetlicy w szkole, gdzie grało się na grosiki, a jak chciało się wygrać sporą sumkę, na przykład cały złoty, należało bezbłędnie przeprowadzić przynajmniej dwadzieścia partyjek i ani razu nie stracić grosza. Grosz był wtedy na wagę całego złotego.

Zrobił skwaszoną minę, przez co jego charakterystyka wydała się jeszcze bardziej obrzydliwa. W takiej pozie zastał go wracający z frytkami Janek.

– Coś nie tak? – zapytał. Zdrowe oko wydawało się lekko drżeć, podobnie jak dłonie trzymające miseczkę z frytkami.

Klaun jednak nie odpowiedział od razu, ponownie przecesał sobie do tyłu włosy palcami. Uśmiechał się przy tym i położył dłonie na stół. Wyglądał trochę jak nieśmiały dzieciak, chcący zgłosić nauczycielce, że jest gnębiony w klasie.

– Piracie, powiedz mi, dlaczego tamten gościu kantuje? – spytał, ostrożnie dobierając słowa.

Piracie, zakpił w myślach Gaweł, ja ci dam pirata.

– Nie jestem piratem, debil! – powiedział ostro. – Nikt nie kantuje, po prostu, jak gra, to mu idzie, bo jest w tym dobry.

Wydawało się, że żaden mięsień nie drgnął na jego wygładzonej twarzy, jednak klient wiedział swoje. Można powiedzieć, że wyczuł kłamstwo, ale tak naprawdę mężczyznę zdradziły oczy. Przybysz wyczytał z nich współczucie dla dwójki taksówkarzy. Poczł też fetor strachu, który działał na niego jak dobre perfumy.

– Wiesz, że kantuje – powiedział głośno mężczyzna.

Grupa przy stoliku przerwała grę i Filip lekko się przekreślił, zapewne pozbywając się dodatkowych kart z rękawów, na co nie zwróciła uwagi pozostała dwójka.

Jeszcze trochę, jeszcze tylko zjem, a wtedy... wtedy zobaczymy, mówił w myślach mężczyzna w garniturze.

– Piracie, nie ze mną te numery. Pływałem już po tych wodach – rzekł, po czym zaśmiał się przerażająco, jakby usłyszał najlepszy i najbardziej czarny żart w historii. Mniemanie miał o sobie ogromne.

– Co...? – Janek starał się wydobyć głos z zaciśniętego gardła, ale nie dał rady. Nie mógł nawet zrobić kroku w tył, kiedy zobaczył, jak przybysz szczerzy zęby, a jego dłonie oparte o blat są zakrwawione. Nie zwrócił na to wcześniej uwagi, przez co teraz zbladł. Nabrawszy głęboko powietrza do płuc, wypuścił je i ponownie wciągnął, starając się opanować, ale widniejące plamy zanadto go rozpraszały.

Filip nie był zadowolony z zamieszania w lokalu. Tylko on mógł sobie o tej godzinie na to pozwolić, a nie jakiś przebieraniec, któremu najwyraźniej brakuje piątej kleпки.

Stachowiak wywodził się bowiem z rodziny robotniczej pracującej w dwóch zawodach – w kurewstwie i hutnictwie. Jego ojciec był kurwą, która zdradzała jego matkę, a ta z kolei była maszynistką w hucie miedzi w Legnicy. Czym tak naprawdę zajmował się ojciec? Nie miał pojęcia i nie chciał wiedzieć, jednakże wychowywany

głównie przez matkę, nie należał do twardych typów. Zmieniło się to, kiedy zaczął wstrzykiwać sobie testosteron i uczęszczać na siłownię. Wtedy też z potulnego gościa stał się kawałem skurczybyka.

– Kto niby kantuje? – zawołał donośnie.

Klaun nie odwrócił się, tylko cały czas obserwował właściciela lokalu, przecierając dłonie. Zgarbiony, wyglądał, jak mający zaraz runąć pijaczyna, jak niezdatny do właściwego poruszania się człowiek.

Pozory jednak mylą, i to bardzo.

– Pozwól, że coś ci pokażę – powiedział klaun, sięgając po stojącą obok wykałaczkę.

Janek mógł wyraźnie dostrzec zdrowym okiem, jak mężczyźnie drży ręka. Złękniiony spoglądał to na niego, to na wstającego Filipa. Osilek ten nie znosił, kiedy odtajano jego sztuczki.

– No, kto kantuje, ja się pytam?! – powtórzył Filip, a potem ruszył w stronę przybysza. Poruszał się wolno, z gracją, jakby prezentując swoje nienaturalnie szerokie bary i obudowane ramiona, które kontrastowały z chudymi nogami.

Tymczasem człowiek w garniturze pokazywał jednookiemu mężczyźnie wykałaczkę. Demonstrował, jak bardzo jest cienka i lekka, układając ją to na jednym, to na drugim palcu. Przekładał i miętosił w dłoniach, aż ta nabrała nieco krwi Fredrika Mortorsena. Robił przy tym głupie miny, to wystawiając język, to robiąc zeza, ale za każdym razem wyglądał przerażająco.

– Zdajesz sobie sprawę, iż ta wykałaczką ma niecałe cztery centymetry długości – mówił, wbijając ją sobie w palec, ku obrzydzeniu właściciela, którego sparaliżowało ze strachu. Z palca zaczęła kapać krew. – Nie da rady przebić mi palca, gdyż warstwa podskórna jest twarda. Znajdują się tam mięśnie, ścięgna, paliczek, a na końcu i tak jest paznokieć. Inaczej sprawa ma się z okiem.

Stachowiak już podwinął rękawy. Nie zdawał sobie sprawy, iż te ręce nijak się mają do faktycznej siły fizycznej mężczyzny przypominającego klauna.

Nim dłoń Filipa spoczęła na ramieniu nieznajomego, ten odwrócił się i sprawnym ruchem obwinął swoją rękę wokół szyi przeciwnika, następnie przyciągnął go do siebie. Drugą wbił mu wykałaczkę w oko tak szybko, iż początkowo neurony nie potrafiły zinterpretować tej informacji, a organizm zareagował jedynie na niespodziewany ruch.

Przybysz odepchnął kierowcę tira, który wpadł na stolik z kartami, rozwalając go w drobny mak.

Janek Gaweł w swoim życiu widział już dużo rzeczy. Był na festiwalu w Jarocinie i na Woodstoku oraz na wielu koncertach zespołów metalowych i rockowych. Oglądał też horrory i lubił strach, ten dreszczyk emocji, przesywający go do szpiku kości. Kochał się w kinie akcji. Nie miało to jednak za wiele wspólnego z tym, co działo się w barze, ani z jakimkolwiek odczuciem, z jakim spotkał się w ciągu czterdziestu lat życia.

Filip po pierwszym kontakcie podniósł się dosyć szybko, ale jego wzrok był niewyraźny, a jedno oko zamglone i jakby... przebite?

– Zasada jest jedna, nie można wbić wykałaczki zbyt głęboko – kontynuował mężczyzna, odwracając się do jednookiego właściciela – inaczej ścięgnięta w palcu zostaną uszkodzone i niepotrzebnie będziemy się babrać w brudzie. Z okiem jest inaczej, ponieważ nawet najmniejsze, kilkumilimetrowe przebicie może spowodować rozlanie się płynów ustrojowych, w efekcie czego oko wypłynie. Dosłownie! – zakończył ze śmiechem.

Śmiał się przeraźliwie, a Filip na miękkich nogach opierał się o stolik, próbując ręką wymacać swojego oko, jednak wyczuł jedynie galaretowatą substancję. Wykałaczka również poruszała się już luźno, a umysł powoli zaczął odbierać ból. Wśród gęstej atmosfery pomieszczenia, gdzie czuć było przypalające się mięso do hamburgera, ulatywało mu z głowy nieskończenie wiele myśli. Niczym na pirackiej łajbie, w barze było już dwóch jednookich majtków.

Filip nie wiedział, jak się zachować, czy krzyczeć, wzywając Boga, czy złorzeczyć, wzywając diabła.

– Coś się przypala – stwierdził ponuro nocny klient baru. Głos miał spokojny, jakby przed chwilą wrócił z orzeźwiającego spaceru po okolicy i w pełni mógł się oddać przyjemności konsumpcji wysmienitych frytek. – Nie lubię spalonego – dodał.

Janek bez słowa wycofał się do kuchni, gdzie miał telefon, ale dziwnym trafem nie chciał nigdzie dzwonić. Nie chciał też nigdzie iść, bo zbyt fascynowała go zaistniała sytuacja.

W swoim pieprzonym długim i nudnym życiu nie doświadczył niczego specjalnego, żadnego zwrotu akcji, a raczej jedynie samych przewidywalnych w skutkach świadomych decyzji.

Zawsze bowiem wiedział, co się z nim stanie i jaki będzie efekt podjętych przez niego wyborów – raz lepszy, raz gorszy. Jeśli się upijał, wiedział, iż skończy w rowie zalany w trupa, a jeśli jechał na festiwal, wiedział, że zaliczy jakąś imprezowiczkę. Życie było proste i sprowadzało się do racjonalnych, przemyślanych decyzji, nigdy nie działał spontanicznie.

Tę zasadę zaszczepiła mu matka, również pracująca w hucie, jak matka Filipa. Tam wszystko musiało chodzić, jak w szwajcarskim zegarku, inaczej piec gasł, a rozpalenie go zajmowało średnio tydzień. Na takie opóźnienie nie można sobie pozwolić.

Tym razem pozostał bierny. Pozwolił, aby wszystko potoczyło się własnym biegiem, nie wiedząc, jakie będą tego skutki. Było to cholernie podniecające. Przekładając kotleta do bułki, zwrócił uwagę, że drzwi na zaplecze są nadal zamknięte, a nocny klient pewnie wciąż siedzi przy ladzie i zajada się frytkami.

Jeśli masz zadzwonić na policję, to, do jasnej cholery, zrób to teraz!, grzmiał głos w jego głowie. *Ratuj przynajmniej tych ludzi w barze, bo, kurwa, nieźle to wygląda.*

Nieźle, kurwa, co?

Pot wstał mu na czoło, a w kuchni śmierdziało starym olejem. Jednak jego ruchy były bardziej spokojne. Opanowawszy drżenie rąk, sięgnął po sałatę, po czym nałożył ją na kotlet. Potem plaster sera, pomidora... nie, lepiej dwa pomidory. No dalej, Janek, hamburger jak każdy inny, nie myśl o tym, że Filipowi właśnie wypływa oko...

Nieźle, kurwa, co...?

Nie myśl, że właśnie ten psychol siedzi sobie tam, spokojnie, ręce ma we krwi, i czeka na swoje zamówienie. Kurwa, nie myśl o tych dwóch taksiarzach. Oni...

...są już martwi...

...są tam. Czekają na rozwój wypadków.

Janek, kurwa, zadzwoń po pieprzone psy! Wiesz dobrze, że lubią za-jeżdżać na bar, by uzupełnić kalorie na nockach. Zadzwoń, do cholery jasnej, zadzwoń!, powtarzał wciąż ten sam głos w głowie, ale Janek nie słuchał. To był właśnie ten spontaniczny przebieg wydarzeń, na który czekał.

Nim jednak pchnął drzwi prowadzące na salę i przekroczył próg, usłyszał, jak coś ciężko upada. Jakby worek ziemniaków runął

z wysokości kilku metrów na tekturowy domek i zmiażdżył kilkanaście szklanych naczyń. Dobrze było słyszeć trzask i po czasie zdał sobie sprawę, że to zostały połamane plastikowe siedzenia. Nie spojrzął przez niewielkie okno, żeby sprawdzić, co też działo się za drzwiami. Zamiast tego, z zamkniętymi oczami, zamarł w bezruchu. Przypalony kotlet w hamburgerze lekko dymił, a na talerzu gromadził się już sok ściekający z pomidora i woda z sałaty.

Janek usłyszał krzyk Filipa, po czym ponownie trzask i uderzenie. Sekwencja powtórzyła się kilkukrotnie, bez zbędnych słów; krzyk, trzask, uderzenie, krzyk. I na nowo: krzyk, trzask, uderzenie, krzyk. Doszły do tego jęki i urywane przekleństwa.

Oni umierają, fajnie co? Jak w prawdziwym horrorze, co? No jak? Nie bawisz się dobrze, skurwielu? Nie bawisz się? Śmieję się. Śmieję się, jak śmiałeś się na Terrifieru w kinie, jak wyżynano nastolatków w Halloween. Niezła zabawa, doprawdy, wyśmienita!

Potem słyszał już tylko uderzenia czegoś ciężkiego i twardego o podłogę oraz cichnące z każdą chwilą jęki. Mógł jeszcze coś zrobić, sięgnąć po pieprzoną komórkę lub telefon stacjonarny i zadzwonić. Kurwa, mógł zrobić cokolwiek, nawet złapać po broń za ladą, ale mieszanina przerażenia z podnieceniem nie pozwoliła mu nawet na to. Janek stał i tylko wpatrywał się w drzwi, jak w przejście do innego wymiaru.



Rozdział I

Kiedy rozum śpi

Szymon bardzo chciał pogadać ze Staszkiem Wawrzyniakiem, który odpowiadał za grafik na nowy miesiąc. Była to bardzo istotna kwestia, zważywszy, iż obiecał pojawić się dwudziestego czwartego grudnia na Wigilii u rodziców żony. Tego dnia zaplanowano mu służbę w Komendzie Powiatowej Policji. Jednakże była trzecia w nocy, Staszka nie było ani na komendzie, ani w dyżurce. Rozpłynął się w powietrzu, jak mają w zwyczaju aspiranci sztabowi, kiedy są najbardziej potrzebni w tym całym cyrku.

Grudzień był zazwyczaj niezwykle miłym miesiącem, gdyż poza interwencjami do samotnych pijaczyn, nie było większych zawiadomień. Jako zwykły, podrzędny wręcz „krawężnik”, musiał jedynie przetransportować takowego delikwenta do odpowiedniego miejsca przeznaczenia.

W grę wchodziła albo izba wytrzeźwień w Legnicy, albo areszt śledczy w Złotorzy.

Miasto, w którym notabene było więcej ludzi starszych niż młodszych, znajdowało się, praktycznie między dwoma wielkimi skupiskami przestępczości: okręgiem legnickim i jeleniogórskim. Funkcjonariusze interweniujący gdzieś pośrodku, a więc w powiecie złotoryjskim, mieli dosyć prozaiczne zadanie: przetransportować co bardziej niebezpiecznych w jeden z tych rejonów, a następnie wrócić do bazy. W samej Złotorzy nic się jednak nie działo.

Dolnośląska ostoja, tak nazwał ją komendant wojewódzki, gdzie nie dzieje się nic strasznego, ani podejrzanego, z wyjątkiem kradzieży poszczególnych elementów gospodarczych.

Przykład?

Dzisiaj, tj. 27 listopada 2019 roku ukradziono z bramy numer 9, przy ul. Wyszyńskiego, rower. Właścicielka zgłosiła kradzież o godzinie 22:41, twierdząc, iż ostatnim razem rower był widziany w godzinach między 15-16, kiedy to wracała z pracy.

Uwielbiał takie zgłoszenia.

Szymon należał do tych, co nie znosili ludzkiej głupoty, a z racji, iż ulica Wyszyńskiego była jedną z tak zwanych „trudnych”, wizytacja na miejscu zdarzenia bywała problematyczna. Szczególnie takie było wyjaśnianie poszkodowanej, że rower nie może stać bez odpowiedniego zabezpieczenia w takiej okolicy. Polemikę i racjonalne myślenie mógł jednak szlag trafić, skoro na wszystko można odpowiedzieć: „Ale pani Grażynka z drugiego całego czasu z nieprzypiętym żyła”.

Funkcjonariusz, siłąc się na spokój i używając całej swojej cierpliwości, zawsze odpowiadał w podobny sposób: „Pani Grażynka ma stary model, którego nikt nie kradnie”. Bądź: „Pani Grażynka kopnęła w kalendarz pięć lat temu, a teraz każdy bierze, co popadnie”.

Na nic zdały się jednak usilne próby Szymona i jego kumpla z wydziału KP Złotoryja, ponieważ skończyło się na wyzywaniu ich i nagraniu całego zajścia. Przekłęte telefony!

Kiedy interwencja dobiegła końca, a jeden i drugi zakodowali sobie już nie tylko w głowie, ale i specjalnej bazie danych owo zgłoszenie kradzieży, pojawił się moment wytchnienia.

Szymon Kowalczyk był wysoki, dosyć dobrze zbudowany i trzeźwo myślący. Nie lubił się przemęczać, dlatego zawsze wpierw myślał, a potem dopiero działał – nigdy na odwrót! Wychował się w tym mieście i w jego okolicach, nie obce były mu rudery, opuszczone domostwa, w których to niejednokrotnie znajdowano zziębniętych bezdomnych, czy pijacków. Miał do tego nosa.

Ojciec chwalił go czasem, że lepiej trafić nie mógł, jak na policję.

– Wreszcie chwila oddechu – zwrócił się Szymon do kolegi, Michała Zebrzydowskiego, siedzącego obok.

Znajdowali się przy bramie wyjazdowej z podwórka, tym samym blokując przejazd.

– Lepiej ruszajmy, bo jeszcze gotowi nas obrzucać kamieniami.

Szymon zgodził się z kolegą skinieniem głowy i odpalił wysłużoną Kię, po czym opuścili ulicę. Minęli salę bankietową i szybko znaleźli się na skrzyżowaniu Cmentarnej i biegnącej w dół, ku rzece, ulicy Stromej. Jedną z większych wad tej miejsciny była niezliczona ilość ulic, niektóre posiadały naprawdę absurdalne nazwy.

Przykładem była ulica Krótka, która również podpiniała się pod owo skrzyżowanie.

Cholera, krótkie to można mieć ręce, ale nazywać tak ulicę? Logiczne jest, że słowo „krótki”, jak i jego pochodne mogą mieć różnorakie zastosowanie, ale nazywać tak fragment drogi, gdzie w dodatku nie ma żadnych mieszkań, tylko postój taksówek? Szymon najchętniej wymieniłby nie tylko nazwę, ale też palantów, którzy tę nazwę nadali.

Przy rzece, w stronę której skręcili, mogli w spokoju przeczekać kilkadziesiąt minut, drzemiąc albo oglądając na telefonach jakieś filmiki.

Zmiany na nockach nie należały do najbardziej pasjonujących, a jako że sami nie należeli do policjantów o bujnej wyobraźni, mogli się cieszyć jedynie z daru nowoczesności, jakim były telefony komórkowe. Tak więc Michał odpalił na swoim samsungu YouTube'a. Cenił polskich youtuberów komentujących kino i produkcje niezależne. Lubił oglądać ich kanały do śniadania, obiadu lub właśnie podczas służby. Choć jego wygląd na to nie wskazywał, w szkole uchodził za nerda. Z tamtych czasów zostały mu tylko bujne, ciemne włosy, skręcające się na końcówkach, co dodawało mu uroku. Czasem Szymon nabijał się z niego, że przypomina Sylvestra Stallone'a w *Rambo 2*, ale ten zawsze uspokajał, iż aby tak wyglądać, musiałby schudnąć przynajmniej dziesięć kilo, by uwydatnić mięśnie.

Na nocnej zmianie życie płynęło wolnym tempem, podobnie jak miejska rzeka – Kaczawa.

Była dosyć specyficzna, bo wychodząc z Gór Kaczawskich i kończąc swój bieg w samej Odrze, mogłaby stanowić połączenie ze światem. Mogłaby, gdyby tylko jej poziom był wyższy, a ludzie chcieli w ogóle z takiego połączenia korzystać.

Dziadek Szymona, kiedy jeszcze żył, zachwalał swoje umiejętności budowania różnego rodzaju wynalazków. Była to istna złota rączka!

Pewnego razu wpadł na pomysł, aby małego Szymona wypuścić do rzeki na własnoręcznie zbudowanej dętce do pływania. Złożona z kilku dętek rowerowych, została uszczelniona smarem i scalona, a Szymon umieszczony w środku.

Ojciec Szymona omal nie zabił teścia, kiedy tylko dowiedział się o tym wybryku. Co prawda nic się nie stało, ale świadomość, że syn pokonał pięć kilometrów rzeki – w tym jeden wodospadzik – i znalazł się poza miastem, wprawiła jego matkę w mały atak paniki.

Dziadek zręcznie wybronił się od oskarżeń, ale obiecał więcej nic takiego nie robić.

Tak się dzieje, gdy jest nudno.

Wyobraźnia podsuwała coraz to nowsze zabawy – ciekawsze i bardziej niebezpieczne, ale też niezwykle pomysłowe. Kolejnym „zatarciem” między rodzicami a dziadkiem były opowiadane przez niego historie. Szymon, razem z kilkoma kolegami, słuchał opowieści dziadka w parku albo na działce. Zwykle nawiązywały do przesłań ludowych krążących po okolicy, często występowały w nich strzygi i inne słowiańskie demony. Nie brakowało również nawiązań do końcówki II wojny światowej, kiedy to Niemcy, uciekając z tych ziem, zakopywali złoto, które zaś potem ginęło w tajemniczych okolicznościach.

Dużo opowieści dotyczyło też osławionej kopalni złota Aurelii, w której niejednego człowieka zakopano żywcem. Mali chłopcy uwielbiali te historie za dnia, ale kiedy nastawała noc, musieli włączać przy łóżkach lampki, bojąc się, że z ziemi sięgną po nich gnijące dłonie zakopanych górników.

Było wiele takich bajek i wiele takich dni, kiedy nudzili się z chłopakami i słuchali od niechcienia tych przypowieści. Szymon lubił dziadka i teraz wiele by dał, aby znowu móc go posłuchać. Wciąż nieco obawiał się miejsc, o których wcześniej słyszał od staruszka. Może nie była to prawda, ale przebywanie w okolicy byłej sztolni zawsze napawało go lękiem.

Dlatego nawet na szkolnych imprezach wołał nie zbliżać się do Góry św. Mikołaja, pod którą obecnie stali i gdzie też znajdowało się wejście do kopalni złota.

Kręcąc nosem, Szymon zgodził się jednak przesiedzieć tutaj kilkanaście minut, potem kilkadziesiąt, aż wreszcie zawinęli do bazy, ku jego uciesze. Potem chwila wytchnienia w fotelach i ponownie wypad

w miasto, tym razem na patrolowanie ulic nocą oraz żeby wrzucić coś na ząb.

– Zgłoszenie przy barze Jana Gawła Via, najprawdopodobniej napad rabunkowy. – Aspirant sztabowy, który miał tego dnia dyżur, był nie w sosie. Robert opłacał studia córki, której nie wiodło się najlepiej. Wiktoria na trzecim roku powtarzała dwa przedmioty i było niemal pewne, że nie zaliczy ich ponownie. Stąd też jego suchy i nieprzyjemny głos.

Szymon w spokoju popijał kawę ze stacji Orlen, na której policjanci z nocnej zmiany mieli zawsze po jednym kubku oraz hot dogu za darmo. Jego partner aktualnie załatwiał swoje potrzeby fizjologiczne, a zgodnie z przepisami jeden z nich musiał czuwać przy radiu.

– Przyjąłem, zaraz będziemy w okolicy – potwierdził Kowalczyk bez zbędnych ceregieli.

Stacja Orlen znajdowała się dziesięć, piętnaście minut od zjazdu z autostrady, gdzie mieścił się bar Via.

– Nowe zgłoszenie. Jednooki Janek ma chyba problem – powiedział Szymon do kolegi, który właśnie wychodził z toalety na tyłach stacji, zapinając rozporek. – Może do interwencji dorzuci nam frytki – dodał. Kiedy coś działo się w ich rejonie, zawsze można było liczyć na jakieś dodatkowe korzyści. Oczywiście, jeśli reagowali odpowiednio szybko. W obcym rejonie pośpiech był nieuzasadniony.

Michał był typem luzaka. Chociaż całe życie spędził w Złotorzy, nie czuł się związany z tym miastem. Gdyby tylko nie sytuacja rodzinna, najchętniej wyjechałby do Wrocławia i tam zatrudnił się w najlepszej służbie publicznej. Niemniej jednak zależało mu, aby matka nie była samotna. To też w wieku dwudziestu ośmiu lat nadal z nią mieszkał i nadal zachowywał się jak rozwyrzony dziewięciolatek. Jego matce to jednak nie przeszkadzało. Po rozstaniu z mężem cztery lata temu, to syn stał się dla niej priorytetem.

– Jedziemy tam, ale bez kogotów. Sara mieszka niedaleko i nie chcę jej budzić.

– Spokojnie, drogi są zazwyczaj przejezdne o tej porze. Jak się obudzi, powiesz jej, że się wygłupiałem – powiedział Szymon, aczkolwiek nie lubił wybranki kumpla.

Młodsza o prawie pięć lat zachowywała się jeszcze gorzej od niego i chyba właśnie z tego powodu ich ku sobie ciągnęło. Ze wszystkich

problemów na świecie, uważali, iż tym największym jest opóźnienie dostawy chińskiego żarcia do domu.

– Zresztą, w środku nocy pewnie i tak będzie zajęta przeglądaniem internetu – dodał Szymon.

Michał, na którego wołano Murzyn z powodu włosów, tylko wrzucił ramionami i wziął porządnego łyka kawy. Chcąc się jeszcze pobudzić, mocno szarpnął za skrzynię biegów, wrzucił wsteczny i wyjechał z parkingu dla klientów stacji.

Szymon nie lubił interwencji. Mimo iż ani dzień tygodnia, ani pora nie była typowa na tego typu akcje, to miał złe przeczucie. Ostatni raz doznał czegoś podobnego w zeszłym roku, przed sylwestrem.

Pojechali wtedy na interwencję do wsi Jerzmanice-Zdrój, znajdującej się pod samą Złotoryją, gdzie mieścił się zakład karny dla młodzieży. Doszło tam rzekomo do pobicia mieszkańca wioski przez jednego z wychowanków zakładu. W Jerzmanicach były zaledwie dwie ulice na krzyż, kilka bloków i wiele domków jednorodzinnych. Krajobraz uzupełniały stare rudery, rodem z PRL-u, a jedyną atrakcją tam była lokalna piękność – Sandra.

Skutek interwencji?

Okazało się, że osiemnastoletni osadzony uciekł przez dziurę w drucie kolczastym, by kupić fajki, a wracając, pobił gościa, który zwrócił uwagę na jego pokrwawione dłonie (dziura w drucie nie pojawiła się przypadkiem).

Kiedy wchodzili do jego pokoju, idący przodem Szymon obejrwał w szczękę plastikowym krzesłem. Cholernie bolało, ale zgodnie z przepisami nie mogli użyć broni przeciwko nastolatkowi, z wyjątkiem tej ogłuszającej.

Ostatecznie udało się to jakoś załatwić, kosztem rozciętej skóry pod wargą Kowalczyka, ale za to L4 wpadło, jak na zawołanie.

Teraz Szymona miał jeszcze większe obawy.

W swojej ośmioletniej pracy w psiarni spotkał się już z dilerami, kibolami i zwykłymi chuliganami. Na pierwszych patrolach ulic spotykał nawet swoje koleżanki z klasy, z gimnazjum, które zmieniały partnerów częściej, niż lubińskie prostytutki klientów. Nie była to zła robota, wiele można się dowiedzieć o ludziach.

I tak właśnie dowiedział się, iż Jednooki Janek, jak nazywali właściciela baru Via, handluje od czasu do czasu metamfetaminą i marihuaną.

Najczęściej donosili o tym „zieloni”, łapiący kierowców na autostradzie. Miało to kolosalne znaczenie, zwłaszcza iż teraz jechali tam z interwencją do napadu rabunkowego. Bóg jeden raczy wiedzieć, co takiego zaszło, że aż zgłoszono napad.

– Myślisz, że będą świadkowie? – Michał chciał czymś zająć myśli. Nie należał do spokojnych osób i w wielu stresujących sytuacjach wołał ustępować miejsca Szymonowi. Ten, mimo niewielkiej różnicy wieku, z ojcowską powagą wychodził przed niego i kierował interwencją. Nie ma bowiem nic przyjemniejszego, od dowodzenia.

– Na pewno zostaną taksówkarze – odparł. – Zakładam, że będzie też kilku kierowców. Póki co, skup się jednak na jeździe. Mijamy strzelnicę i na polach może się roić od saren i jeleni.

Opuszczając miasteczko, przejeżdżali przez wybrzuszenie terenu, dosyć gęsto zalesione, gdzie znajdowała się strzelnica. Za nim zaś droga wchodziła między pola uprawne i to właśnie tam gromadziły się stada saren i jeleni, czasem wpadające na drogę. Przy tym przeklętym deszczu można w dodatku było wpaść w poślizg i skasować samochód.

Musieli minąć jeszcze dwie miejscowości: Kozów i Wilczyce. Z tej drugiej widać już było neonowy znak baru znajdującego się przy zjeździe z autostrady. Po jej drugiej stronie zlokalizowano stację kontroli pojazdów oraz benzynową.

Na miejscu zastali niemal pusty parking. Choć zazwyczaj było tam pełno tirów, busów i taksówek, tym razem ujrzeli zaledwie kilka ciężarówek i taryfy. Nawet nie wszystkie lampy się świeciły. Wokół panował półmrok.

– To jak? – zapytał Michał, wyłączając silnik.

Kowalczyk poprawił kaburę z pistoletem i przetarł rękaw policyjnego munduru.

– Srak – odpowiedział tępo.

Idąc w kierunku wejścia, Szymon dostrzegł niewielki ruch w jednej z taksówek. Zobaczył siedzącego w niej mężczyznę, który albo gadał z kimś przez radio lub telefon, albo mówił sam do siebie. Od-ruchowo oparł dłoń na pistolecie, bardziej dla efektu, niżeli byłoby to rzeczywiście konieczne. Mężczyzna wydawał się czymś bardzo zdenerwowany i niezbyt przejął się radiowozem, który przed chwilą zaparkował nieopodal. Palił przez otwarte okno, co dla Szymona było idiotyzmem. Nie miał nic do palaczy, mimo iż sam był przeciwnikiem

zaśmiecania płuc, ale palenie w samochodzie uważał za najgłupszą rzecz na świecie. Tapicerka, siedzenia i cały sprzęt pochłaniały dym, więc kolejny właściciel musiał radzić sobie ze smrodem tytoniu.

Szymon nie rozumiał ludzi.

* * *

Janek drapał się po skroni, gdzie jeszcze niedawno była opaska na pusty oczodół. Mimo upływu kilku lat nie zgodził się na implant, ani na sztuczne, szklane oko. Wydawało mu się, że opaska nadawała mu wyjątkowego charakteru. Teraz jednak jego symbol pirata na zjeździe znajdował się na ladzie baru.

Dźwignął się ociężale z podłogi, czując pulsujący ból głowy.

Pośród roztrzaskanych krzeseł i stołów, w niewielkim pomieszczeniu znajdowały się też rozbite lampy rzucające krótkie poświaty. Mrugały, jak mrugają hostessy na Cuprum Arenie, kiedy muszą wabić klientów do zakupu swoich produktów. Na to wspomnienie jednooki właściciel baru uśmiechnął się nieznacznie.

Gawel jednak był daleki od przymilania się do tych tępych kobiet i odpowiadania na ich wdzięki. Był jednym z tych, co uważali, iż są ponad wszystkie zaloty czy też dwuznaczne znaki. W rzeczywistości owe znaki były jedynie przejawem dobrego zachowania wobec klienta; bycie miłym to przecież podstawowa cecha dobrego sprzedawcy. Nie można tego powiedzieć o gburowatym Janku.

- Dziwki - powiedział do siebie, opierając się o ladę. Skoro chcieli marnować pieniądze na ćpanie, on nie miał z tego powodu żadnych skrępułów.

Rozejrzawszy się wokół, Janek dostrzegł leżące na podłodze dwa ciała.

Początkowo nie mógł sobie przypomnieć, co takiego się wydarzyło i ze zdumieniem oglądał ślady pobojuwiska. Zarówno krzesła, jak i stoły były pozbawione nóg, leżące zaś w pobliżu ciała były...

...rozzarpane...

...dziwnie ułożone. W migocącym świetle dostrzegał tylko fragmenty tego, co malowało się przed jego oczami. Oto bowiem zdawało się, iż Filip patrzy na niego pustymi ślepiami, jakby jego gałki oczne wyparowały.

Zabawne, pomyślał, zupełnie jak u mnie.

Nie było to jednak aż takie śmieszne, by zacząć rechotać w obecności trupa. Pomięta koszula Filipa była zabrudzona tłuszczem i krwią. Ciało drugiej ofiary zostało mocno poszarpane. Migocące lampy, wiszące na łukowatym sklepieniu sufitu, rzucały złowrogie cienie na płac boju, przyprawiając przytomnego o paskudne uczucie klaustrofobicznej paniki. Nie było to coś, obok czego można przejść obojętnie.

Do diabła, jak przejść obojętnie obok trupa? Prawdopodobnie trupa, poprawił się.

Odwrócił się w stronę baru, a wtedy dostrzegł coś dziwnego. Butelki na półce znajdującej się za ladą, w jakiś magiczny sposób rozstały się na boki, ukazując zapomniane przez niego lustro. Kiedyś, gdy nie stało tu tyle trunków, a jedynym alkoholem, jaki serwował Gaweł, było piwo, pozostawało odsłonięte. Teraz zarówno Jack Daniel's, jak i Jim Beam patrzyli na niego z dwóch stron i sprawiali wrażenie zaciekawionych.

– Na co się gagicie? – zapytał retorycznie. – Każdemu zdarza się upaść. Każdemu – powtórzył.

Gdyby nie lustro, nie dostrzegłby ciekawego ulepszenia swojego ciała, o które zadbał nieznajomy mężczyzna w czerwonej marynarce.

Przed nim ukazała się postać bez włosów, bez opaski, w średnim wieku. To był on, na Boga, nie był głupi, ani zmroczony, aby nie poznać własnego odbicia w lustrze. Zgadzało się wszystko, z wyjątkiem strużki krwi, która ściekała z oczodołu na zielonkawą koszulkę.

Cholera, pomyślał, kiedy zobaczył kapiącą kroplę.

Po chwili jednak co innego przykuło jego uwagę.

Otóż Jednooki Janek nie miał od tej pory prawa nosić swojej ksywki, ponieważ nie spełniał podstawowego jej założenia – nie był już bowiem jednooki.

Drżącą dłonią sięgnął do prawego oczodołu, gdzie jeszcze nie tak dawno była jedynie pustka – pamiątka po wypadku. Teraz jednak wyczuwał obce ciało tkwiące najzwyczajniej w świecie w miejscu oka. Stąd też stróżka krwi kapiąca na koszulę. Jednooki pirat otrzymał dar od nieznajomego, którego nie dał mu sam Bóg, ani lekarze – oko Filipa.

Wszystko zaczęło się układać w spójną całość.

Ciężko nabrał powietrza do płuc, po czym wypuścił je niemal natychmiast. Mijała kolejna chwila, a jego otępiełe ciało trwało nieruchomo,

wpatrując się w barowe lustro. Purpurowe ściany odbijały migoczące światło i napełniały pomieszczenie złowrogą poświatą. Świat wokół zaczął obracać się w zawrotnym tempie, samemu właścicielowi zaś pociemniało w oku. Palcem delikatnie ruszył ciało obce, po czym spróbował zamknąć powiekę, co jednak się nie udało. W efekcie tej próby oko wypadło, razem z przyczepionymi do niego mięśniami i nerwem, co wyglądało jak ciągnąca się za nim pępowina. Oko odbiło się od lady i wylądowało na zlewie znajdującym się za barem, zostawiając po sobie ślady krwi i jednocześnie znacząc kierunek, którym podążył wzrok Janka.

To wystarczyło, aby zaczął krzyczeć – głośno i przerażająco, pośród połamanych krzesel, stołów i całego tego bajzlu.

* * *

Szymon, podobnie jak Michał, otaksował ciężarówki stojące na parkingu chłodnym spojrzeniem. Ten drugi niechętnie jeździł na wszelkie interwencje, szczególnie w tym rejonie. Wyjątkiem była jedna, na pierwszym roku służby, gdy zostali wezwani do sprawy w burdelu.

Jeden z klientów tak się awanturował, że musiał zostać wyprowadzony przez ochronę. Skończyło się strzelaniną, w której efekcie postrzelony awanturnik został roślinką, a ochroniarze z burdelu trafili na SOR w Kaczorowie.

Interwencja w burdelu miała swoje plusy. Większość kobiet była niemal naga, a Michał był w siódmym niebie. Nie narzekał też Szymon, chociaż czuł się nieswojo w towarzystwie obcych, często dojrzałych kobiet.

– Spiszcie zeznania świadków. – Inspektor był na tyle łaskawy, że pozwolił je przesłuchać prostym „krawężnikiem”.

Do teraz Michał pamiętał zapach tanich perfum, zmieszany z nikotynowym żarem bijącym z pościeli. Kobieta, którą miał przesłuchiwać, była młoda i miała na sobie prześwitującą, obcisłą sukienkę.

Pociągało go to. Był jednak na służbie, ale wszystkie obowiązki wykonywał jakby w transie. Podniecała go taka robota. Miał wrażenie, że występuje w jakimś filmie. Cała ta sceneria, postrzeleni ochroniarze i biznesmen, który ledwie uszedł z życiem.

Teraz burdel mieli przy zjeździe z autostrady, ale tym razem Michałowi nie było do śmiechu.

Powietrze było bardzo rześkie, a od autostrady bił lekki wietrzyk. Pośród pól uprawnych otaczających to miejsce, neonowy szyld nad barem miał w sobie coś dziwnego, fosforyzującego, co sprawiało, że wyglądał złowrogo. Przypomniał Szymonowi wijącego się błękitnego potwora, z którego biło światło o tym samym kolorze. Wyobraził sobie jego obrzydliwą gębę, w miejscu, gdzie niektóre płytki neonu się przepaliły. Policjant pomyślał również o historiach dziadka. Potrząsnął głową na te wspomnienia i uśmiechnął się pod nosem.

To tylko bajki, mówił sobie w duchu i ruszył przed siebie.

W jednej chwili ich błogi nastrój zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni. Michałowi włos zjeżył się na głowie, a Kowalczyk odruchowo sięgnął do kabury i poczuł, jak podnosi się mu ciśnienie, a twarz czerwienieje. Z wnętrza baru dobiegł krzyk mężczyzny. W środku światło dziwnie błyskało. Szymon znów wspomniął opowieści dziadka o strzygach.

Bądź racjonalistą, powtarzał sobie jak mantrę.

– Coś jest nie tak – stwierdził Michał, kładąc dłoń na rękojeści P99 Walther. Pocił się, pomimo nieprzyjemnej pogody. – Idź pierwszy.

Szymon na chwilę wyzbył się swojego przeczucia i ruszył w kierunku drzwi wejściowych. Silił się przy tym na spokój, pamiętając o swojej broni przy boku i uważając na zabezpieczenie zamka. Racjonalne myślenie przychodziło mu jednak topornie, ze względu na zamiłowanie do wymyślonych historii, rodem z Lovecrafta i Kinga. Kto by chciał teraz myśleć o strzygach i o ich piekielnie ostrych zębach?

Stanął w bezpiecznej odległości od drzwi, zza których ciągle dobiegał krzyk. Wahał się. Ręka zacisnęła się na pistolecie i bez problemu wyciągnął go z kabury.

Pchnął lekko drzwi i zajrzał do środka. Lampy migały nad stertą połamanych stołów i krzeseł, podłoga zaś była zabrudzona krwią oraz różnymi innymi substancjami, zapewne głównie alkoholem. Przez migające światła dostrzegł w tej scenerii dwa leżące kształty, za ladą natomiast stał Gaweł, krzycząc w stronę lustra. Kiedy Szymon postąpił krok naprzód, poczuł odrażający zapach spalonego tłuszczu i piwa, od którego lepiała się podłoga. Przebijał się też inny zapach, którego policjant nie potrafił z niczym skojarzyć.

Krzyk Jana Gawła był przerażający.

– Spokojnie! Zamknij się, do cholery, i mów co się stało – wrzasnął Szymon, robiąc krok w stronę krzyczącego mężczyzny i mierząc pistoletem w jego nogi, na wypadek, gdyby ten zechciał uciekać.

Jan z początku nie zareagował na słowa funkcjonariusza. Dopiero po chwili spojrzał na Szymona mętym wzrokiem. Wyglądał, jakby toczył walkę sam ze sobą. W końcu przestał krzyczeć, chyba wreszcie rejestrując obecność policji, i wydukał z siebie:

– Jezu... Ja nic nie wiem, nie wiem... – Ponownie spojrzał w lustro. Dotknął swojego pustego oczodołu. – Cholera, ja nic nie...

– Janek, uspokój się – powtórzył Szymon. – Po prostu gadaj, co tutaj się stało?

Michał ledwie wszedł do lokalu, a jego ręka od razu powędrowała do ust, wstrzymując odruch wymiotny. Smaczny hot-dog teraz wychodził mu tak samo, jak wcześniej wszedł. Kiedy jego oczom ukazał się widok ciał oblanych lepką substancją oraz stos połamanych krzeseł i stołów, pomyślał, że trafił na jakiś sabat nikczemnych czarownic. Jego partner mierzył pistoletem w człowieka, który mógł odpowiadać za morderstwo – podwójne morderstwo.

– Ja... nie pamiętam. Nic nie pamiętam... – bełkotał wciąż Janek.

* * *

Mariusz Rybus siedział za kierownicą swojej taksówki, kiedy gliniarze wchodzili do baru.

Zawiadamiając policję, nie uważał się za kapusia skarżącego na złe dzieci sąsiada. Był tylko kierowcą taksówki, zwykłym człowiekiem, który pracuje na nocną zmianę, potem pije i zasypia, i tak niemal każdego dnia. Nie był dzieckiem ani donoszącym smarkaczem.

Powtarzał sobie czasem słowa swojej rodzicielki, która już dawno odeszła z tego świata: „Mariusz, nic się nie dzieje, po prostu przestań beczeć”.

Był beksą. Nie należał do tych silnych dzieciaków ze wsi, którzy radzą sobie nawet w miejskiej dżungli. Zdaniem ojca, był wręcz pół-głupkiem, o czym uparcie nie chciała słyszeć jego matka.

Czasem, gdy Mariusz wdał się w bójkę lub został pobity, jego matka chciała zgłaszać sprawę na policję lub do dyrektora zawodówki, do

której uczęszczał. Jednak ojciec zawsze ją powstrzymywał, twierdząc, że Rybusowie nie są i nigdy nie będą rodziną donosicieli. Teraz Mariusz złamał tę zasadę i modlił się, aby duch ojca mu to wybaczył.

Nim jednak przyjechała policja, co i tak nastąpiło dość szybko, z lokalu Jednookiego Janka wyszedł Dominik Pienik, ubroczony krwią. Jego pomietą koszulę z lumpeksu zdobiły czerwone plamy, w kroczu zaś, na jasnych jeansach, odznaczała się wyraźna mokra plama. Na twarzy mężczyzny malował się szok.

Rybus dobrze znał Pienika, więc szybko zauważył, że ten jakby w ciągu wieczoru postarzał się o dobrych kilka lat. Dominik zawsze wydawał mu się pieprznęty, niczym profesor Rafał Wilczur ze *Znachora*, ale nigdy mu tego nie powiedział w twarz. Pienik był sierotą, a to budziło w wielu współczucie. Takiemu też nie wypada mówić pewnych rzeczy. W mentalności Mariusza był on z góry przeznaczony na straty.

Pienik rozejrzał się po parkingu, co omal nie przyprawiło Mariusza o zawał, ponieważ głowa Dominika kręciła się nienaturalnie w różnych kierunkach. Następnie dopadł on swojego pojazdu i czekał...

Chryste! Jakby mało dziś było dziwolągów, pomyślał Mariusz.

Niedługo później wyskoczył z baru ten umalowany koleś w czerwonym garniturze i z gracją podszedł do taksówki Dominika, a następnie go z niej wyrzucił. Ford focus, rocznik dwa tysiące dziewięć, był chyba jedyną własnością Pienika, stąd też Mariusz dziwił się, że tak łatwo pozwoli go sobie odebrać.

Dziwak w czerwonym garniturze spoglądał z góry na swoją ofiarę, uśmiechając się szeroko. Był chuderlawy, za to niezwykle wysoki. Mógłby go potraktować podobnie, jak kierowcę ciężarówki, a potem spieprzyć z miejsca zdarzenia. Jedyнным świadkiem byłby Mariusz Rybus – kapuś, który dzwoni na policję. Mężczyzna tymczasem jedynie wyciągnął dłoń i przekazał Dominikowi niewielki przedmiot. Ten zaś, niczym w transie, bez żadnego sprzeciwu, pokornie odebrał podarek.

Mariusz nie mógł wyjść z szoku, przyglądając się, jak ten dziwny człowiek wsiada do taksówki i odjeżdża w stronę Legnicy, włączając radio na cały regulator. Po okolicy rozniósł się mechaniczny dźwięk z utworu, *Poker Face* Lady Gagi, a Pienik po prostu poszedł drogą prowadzącą do Wilczyc – bez słowa sprzeciwu, bez krzyku, z zaciśniętą dłonią i szeroko otwartymi oczami, w koszuli z brunatnymi plamami.

– To sen, Mariusz, musisz przestać tyle pić – powiedział do siebie.

Chciałby się teraz obudzić w swoim zapuszczonym mieszkanku na poddaszu i tam, ze spokojem, stwierdzić, że to wszystko było tylko koszmarem. Młody taksówkarz stałby spokojnie na parkingu, on sam zaś leżał na kanapie w asyście kilku (kilkunastu) butelek po piwie i pustej paczki pall mali. Ta wizja była o wiele lepsza, niż to, co się wydarzyło w tym momencie.

Dotarło do niego, że rozsądniej byłoby pracować na dziennych zmianach, kiedy takie dziwne sytuacje miały rzadko miejsce, a i światków takich zdarzeń było o wiele więcej. Teraz paraliżował go nie tyle strach, co świadomość, że to się w ogóle wydarzyło na jego oczach, a on był pieprzonym kapusiem.

Gliny już się pojawiły, psy zwęszyły kość i po nią grzecznie przyjechały.

To był pierwszy i jedyny raz, kiedy zadzwonił po psiarnię. Ale jak nie zadzwonić po służby, skoro właśnie było się świadkiem morderstwa, a bar prawdopodobnie został zmasakrowany?

Neon rzucił złowrogi cień na parking ciągnący się w stronę krajo-wej 364, która wydawała się dziwnie wymarła.

Mariusz był ciekawy, jaki los spotkał Raczyńskiego, gdyż jego wóz nadal stał na postoju. Wciąż siedział w barze? A może...

...zginął?...

...wyszedł tylnym wejściem? Może najzwyczajniej w świecie wypił piwo i teraz czekał gdzieś na koniec nocnej zmiany, zdając sobie doskonale sprawę, że tej nocy nie pojawi się już żaden klient. Tych zresztą było ostatnio coraz mniej, bo zamiast tradycyjnymi taksówkami, woleli jeździć boltem lub uberem.

Ledwie odnotował przybycie gliniarzy. Kiedy już mieli wejść do środka, z lokalu dobiegł przeraźliwy krzyk. Jeden z funkcjonariuszy wyciągnął spluwę i zniknął za drzwiami baru. Drugi poszedł w jego ślady, a po chwili wrócił i zwymiotował przed wejściem.

Mariusz się skrzywił. Facet, który nie potrafi wytrzymać w trudnych momentach, nie powinien nazywać się facetem, jak mawiali jego znajomi. On jednak nie gardził takimi. Teraz wspomnienia z zawódki stały się jeszcze bardziej wyraźne i chociaż wciąż słyszał w głowie głos ojca, to jedno wiedział na pewno – nie jest kapusiem i zrobił to, co powinien.

Co też musiał zobaczyć ten glina, aby tak zareagować?

– Czyje to?! – wydarł się Szymon, spoglądając to na leżące w zlewie oko, to na jednookiego właściciela baru. Wciąż trzymał pistolet w gotowości, choć nie spodziewał się, aby ktokolwiek znajdował się na tyłach lokalu. – Mówże człowieku!

Gaweł zbierał myśli.

Nie mógł sobie nic przypomnieć sprzed odzyskania przytomności. Fakt, że jego lokal był zrujnowany, a w środku znajdowały się dwa trupy, wprawiał go w otępienie. Przyglądając się śladom krwi na drewnianej podłodze i pustym oczodołom Filipa Stachowiaka, przekonywał się coraz bardziej, że powinien poddać się terapii. Do tego Szymon – na wszystkie dziwki świata – dlaczego musiał tak głośno krzyczeć?

– Nie wiem, ile razy mam powtarzać?!

– Coś ćpał? Meta? Heroina? – wyrzucił mu funkcjonariusz, nie przestając mierzyć z pistoletu. – Wciągnąłeś coś i ci odwaliło. Zabiłeś tych dwóch, a jednemu z nich wydlubałeś oko. Miałeś ku temu powód, co? Nabijali się z Jednookiego Janka? Tak było? – Szymon był pewien, że dobrze rozumuje. Już miał gotową świetną historię do raportu dla Komendy Głównej.

Chłodna kalkulacja.

Szymon nie spodziewał się takiego widoku, ale – jak przystało na pesymistę – zawsze zakładał z góry najgorszy scenariusz. Patrzenie krytycznym okiem na świat ma swoje plusy. Jednym z nich jest to, że każde inne rozwiązanie, niż to najczarniejsze, jest miłym zaskoczeniem; a drugim – jeśli czarny scenariusz się spełni, jest się już na niego przygotowanym. Kiedy nastawiasz się na najgorsze, morderstwo nie jest dla ciebie zaskoczeniem.

Proszę Państwa! Temat dnia!

Naćpany, jednooki Jan Gaweł wydlubał oko jakiemuś facetowi przy barze, bo ten się z niego śmiał. Wydlubał mu oko i wrzucił do zlewu, aby je przemyć... – Szymon już widział artykuły w lokalnych serwisach informacyjnych. Skurwysyny, jeszcze serial o tym powstanie, jak się to dobrze rozwinie.

Tymczasem trup bez gałek ocznych wpatrywał się w nich pustymi oczodołami. Szymon nie śmiał spoglądać w tamtą stronę. Miał szczerą

nadzieję, że jego kompan będzie go ubezpieczał i zdąży powiadomić dyżurnego.

– Nie wiem... Naprawdę nie wiem, co tutaj się stało! – powtarzał Jednooki Janek.

Im dłużej policjant słuchał chaotycznych tłumaczeń Janka, tym bardziej zdawało mu się, że palec sam zaciska się na spuście. Jeden z gości był kompletnie zmasakrowany, bez oczu, drugi leżał pod stertą nóżek, co przypominało stos ofiarny. Jeszcze Michał wymiotował na werandzie, przed wejściem. Co za bajzel!

– Pilnuj go – powiedział Szymon do Zebrzydowskiego, kiedy ten wreszcie wrócił do środka.

On sam wyszedł, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Oprócz wyraźnego odoru przypalonego oleju, który go obrzydzał, w lokalu można było wyczuć charakterystyczny zapach alkoholu. W zaistniałej sytuacji Szymon z chęcią sam był się napił. Na służbie nie było jednak miejsca na picie alkoholu, o czym dobrze wiedział.

Jeden, jedyny raz, kiedy pojawił się pod wpływem, miał miejsce osiem lat temu, po tym, jak pochował dziadka, jeszcze przed awanturą w burdelu w Kaczorowie. To była środa, kiedy na nocną zmianę przyszedł mocno wstawiony, ale dyżurny Grzegorz zorientował się dopiero po północy. Mężczyzna nie trawił Szymona od początku, jednak wtedy zachował się po koleżeńsku i przemilczał sprawę, a na każdą akcję wysyłał drugi patrol. Szymon zaś wypoczywał w pokoju prewencji. Od tamtej pory stawał się zawsze trzeźwy, nawet jeśli miał się spóźnić, wolał mieć pewność, iż w jego organizmie nie pozostanie ani jedna dziesiąta promila.

– Tu funkcjonariusz Kowalczyk – powiedział do słuchawki pod ręcznego CB-radia. – Przyślijcie karetkę do baru Via, na wysokości zjazdu z A4, droga krajowa 364. Weźcie jeszcze Monikę, będzie... niezbędna.

Bił się z myślami, co też należy zrobić w takiej sytuacji.

Od jakiegoś czasu dręczyły go wspomnienia związane ze śmiercią dziadka. Po jego pogrzebie zaczęły się mroczne wizje o krwawych łowach strzyg, które przychodzą nocami i porywają małe dzieci. Ich istnienie wydawało się zupełną abstrakcją, a jednak w pewien sposób w to wierzył. Może to właśnie dlatego, że jego dziadek, Tobiasz Koniczowski, był tak dobrym gawędziarzem i jego historie wryły się

w Szymona głowie. Zawsze na koniec każdej historii dziadek додаwał: „Nikt nie wie, czy tak było naprawdę, ale w każdej takiej historii jest ziarno prawdy”. Tyle wystarczyło, aby nawet jako dorosły, Szymon obawiał się strzyg.

* * *

Dyspozytor nie miał najlepszego dnia.

Robert Górski pracował w Policji od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, kiedy to dowiedział się o ciąży swojej dziewczyny, a jesienią przyszła na świat jego córeczka. Wtedy też zdał testy do szkółki i przyjął się do tego domu wariatów. Stać go było już na prezerwatywy, więc jego księżniczka, Wiktoria, była jedynaczką, chociaż od przedszkola narzekała, iż w domu ma TYLKO rodziców. Niezbyt się tym z żoną przejmowali.

Robert był z zamiłowania surwiwalowcem, niejednokrotnie wypuszczał się w pobliskie lasy, ze śpiworem i niewielką ilością pożywienia. Nie był Bearem Gryllsem, który skakał po skałkach i jadał robaki, aby przeżyć. Funkcjonariusz chciał poczuć jedynie nieco adrenaliny i w tym celu wybierał się właśnie na takowe wyprawy, obiecując swojej małżonce, że każda kolejna jest jednocześnie tą ostatnią. Marysia kiwała na to głową, a kiedy już wyjeżdżał – czasem po prostu wychodził z plecakiem pod ręką – organizowała wieczorki towarzyskie z koleżankami z pracy.

Dyżurnym został za zasługi po piętnastu latach pracy.

Był typem policyjnego waźniaka, poświęcającego się dla ręki, która go żywi. Kiedy u władzy był Kwaśniewski z SLD, Robert pluł na inne partie, zarzekając się, że w sumie ten „Olek” nie taki straszny.

Gdy pewnego razu nagrano prezydenta ewidentnie wciętego, stwierdził, że w sumie to nawet swojski chłop. Niemniej, w tym czasie pojawiła się w jego głowie lampka ostrzegawcza, której nie pozbył się do końca kadencji Kwaśniewskiego w dwa tysiące piątym roku. Wtedy też jego Wiktoria powędrowała do pierwszej klasy, jako dziecko ułożone, umiejące już czytać i w miarę ładnie pisać. Duma każdego ojca! Ale też w tym roku zaczęło się jego małe piekło w pracy. Prezydentem został Lech Kaczyński, rząd przejęło niedługo potem PO, podwyżek wciąż nie było i właściwie niewiele się zmieniło.

Kiedy rządziła lewica, prawica krzyczała na nich i wyzywała od KGB, SB lub UB. Kiedy zaś rządziła prawica, lewica solidarnie sprzeciwiała się policji, jakoby zapominając, że sama nasyłała milicję na zebrania Solidarności w latach osiemdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Psie życie – mawiali policjanci, patrząc po sobie zmęczonym wzrokiem. Tak, proszę państwa, cholerne psie życie. Robert chodził po ulicach nieraz od rana do wieczora i marznął, kiedy to kolejni politycy przejeżdżali przez Legnicę i Złotoryję, a ich mobilizowali na każde pierdnięcie. Zgodnie z poprawnością polityczną policji w Polsce, służby mundurowe były bezstronne, ale jednak to rząd nimi dysponował, a rząd już nie był bezstronny. Ot tak, błędne koło się zamknęło.

Oczywiście wszystko łatwiej było zwalić na nich, zakutych w mundury funkcjonariuszy, którzy zarabiają mniej niż prości robotnicy po zawodówce w fabryce.

W tamtych latach, kiedy Lech Kaczyński był prezydentem, Robert nie znosił PO i SLD. Jak to jednak w życiu bywa, przebrzmował się w końcu na bezpartyjnego funkcjonariusza. Jeden czy drugi najpierw obiecuje podwyżki, a potem szcza na ciebie, a kiedy osłaniasz mu dupę, obraża cię, że twoje metody są zbyt agresywne.

Niech się wszyscy pieprzą!

Chodząc po ulicach, doświadczył wyzwisk od pyskatek dzieciaków, przykrych słów od matek tych, których zakuł w kajdanki, a od ich partnerek nawet przemocy fizycznej. Te drugie, niejednokrotnie z wielką śliwą pod okiem, podlatywały i kłęły się na niebiosa, że ich partner „to w sumie w porządku człowiek, wypłatę przynosi do domu co miesiąc”.

Kiedy przeniesiono go do dyżurki, od razu zaczął lepiej rozumieć cały ten system.

W świecie pełnym komplikacji nie zawsze wystarczą racjonalne argumenty i trzeba się uciekać do forteli. Przeważnie takie coś sprawdziło się przy wariatach pokroju pana Staszka. Nie bez powodu dał sobie spokój z polityką, kiedy tylko stał się dyżurnym; polityka to sztuka unikania kompromisów, a praca dyżurnego to sztuka manewrowania kompromisami.

Pan Mirek kochał dwie rzeczy – wódkę i swoją świętej pamięci żonę. Kiedy nie wzywał jej z zaświatów, upijał się. Pewnego razu upił

się na tyle, aby przyjść na komendę i prawić dyżurnemu, jak bardzo zniszczony jest park miejski i jak bardzo potrzeba tam interwencji.

– Denerwuje to pana? – pytał Robert, niemal troskliwym głosem, jaki sam słyszał tylko od własnej matki w dzieciństwie.

– I to jak! – Jego zapewnienie wydawało się wiarygodne.

– Więc idź i posprzątaj tam, na dobry początek – zaproponował Górski.

Wtedy oczy pana Mirka zapłonęły niemal żywym ogniem i wstąpiła w niego nowa energia, jakby nagle wszystko nabrało sensu – miał wreszcie cel.

– Tak? – upewnił się pan Mirek, nie do końca chyba wierząc, iż byłoby to takie proste.

– Tak – odparł Robert. – Wystarczy zacząć zbierać śmieci, a od razu park będzie lepszy.

Cholernie proste.

Dyżurka to sztuka manewrowania pewnymi aspektami życia interesantów. Jeśli słyszało się dziesięć zgłoszeń, z czego jedno dotyczyło krzywdy człowieka, cztery zwierzęcia, a pozostałe były zwykłą bezmyślnością, szeregowało się to zgodnie z logiką. Policja służyła ludziom, a nie zwierzętom. Odejmujemy cztery przypadki – poświęcenie konieczne, jeśli ma się tylko trzy patrole na dziennej zmianie i dwa na nocnej – pierwszy radiowóz zawsze wysyłamy do człowieka. Selekcjonujemy dalej, skupiając się na pozostałych sześciu. Dwa to złe parkowanie, a więc utrudnienie wyjazdu z posesji, może to oblecieć druga załoga w pół godziny, skoro wszystko jest na terenie miasteczka. Kolejne trzy to prośby o to, aby pies sąsiadów czekał ciszej, córka pana spod czwórki przestała płakać, albo... aby odpędzić demony z mieszkania.

– Zadzwoń do piekła i powiem czortowi, aby wypieprzał od pani, dobrze?

– Dobrze – odpowiedział głos pełny wdzięczności.

Ostatnie zgłoszenie tyczyło się stłuczki – obowiązkowo wysłanie drogówki. Przed końcem zmiany zostaje jeszcze jeden radiowóz, który można wysłać do pozostałych zgłoszeń. Interesantów przyprawia to o szal, ale dyżurny doskonale wie, że nic nie można na to poradzić. Ten jeden patrol ogarnia ostatnie zgłoszenia – od najważniejszego, do najmniej znaczącego. Aby mieć czyste sumienie, wysyłał chłopaków

do zdarzenia według powyższej kolejności. To tylko przykład, ale tak to właśnie działał dyżurny Robert. A jak się ma do czynienia z czubkiem, trzeba gadać jak oni, uciekając się do kompromisu.

Wśród młodych panowało przekonanie, aby jak najmniej angażować się w problemy. Tylko nieliczna grupa się angażowała – kryminalni oraz kilku w prewencji. Do tej grupy należał też Szymon Kowalczyk, z którym zakumplował się Robert. Gadał do rzeczy i zawsze konkretnie.

– Jak ty to robisz? – zapytał go pewnego razu, kiedy na odprawie jednego z naczelników dostali zaproszenie do restauracji w Grzybku. Urokliwe miejsce, gdzie latem można było posiedzieć na świeżym powietrzu i powdychać przyjemną woń tulipanów z szeregowych doniczek wokół.

– Kalkuluję. – Słowo to było kluczem do zrozumienia sposobu działania Szymona. Widział jednak, że starszy od niego dyżurny niewiele z tego rozumiał, więc wyjaśnił. – Otóż wy, na dyżurce, oczekujecie zawsze sprawdzonych informacji. Na początku badam teren i zadaję pytania, a potem stwierdzam, co dalej. Czasem trzeba dostosować swój poziom, do poziomu rozmówcy.

W punkt!, pochwalił go w myślach.

Mimo iż nie dzielił się z Szymonem swoimi rozważaniami, ten idealnie odgadywał jego myśli i mógł w miarę poprawnie oceniać sytuację „na pierwszej linii”. Kowalczyk idealnie umiał dokonać selekcji danych i przekazywał Górskiemu tylko niezbędne informacje tak, aby ten mógł bez zastanowienia wiedzieć, co zrobić dalej. Dać kryminalnych czy drogówkę? Zawiadomić komendę główną czy inspektorat sanitarny? Ale tym już Szymon nie musiał się przejmować.

Jeśli mówił, iż wszystko jest pod kontrolą, to tak było w istocie. A jak działało się źle i prosił o wsparcie, a prosił bardzo rzadko, to należało wysłać jeszcze jeden patrol. Tak samo było, kiedy twierdził, że trzeba powiadomić kogoś wyżej. Wyrażał swoje zdanie, ale bez przesady, uznając wyższość aspiranta sztabowego, jako osoby bezpośrednio decyzyjnej.

Cholerny młodzian! W nocy, z dwudziestego siódmego na dwudziestego ósmego listopada, spokojnie pił drugą kawę – a miał w planach jeszcze trzecią – nie spodziewając się, aby pod koniec miesiąca zdarzyło się coś godnego uwagi. Pozwolił sobie wręcz na odprężenie,

na które pozwalają sobie jedynie naczelnicy mający pod sobą konkretne działy. Te odwalają za nich większość roboty, a za Roberta robotę odwalają patrole.

Nagle w CB-radiu usłyszał głos Kowalczyka, który pojechał w okolicy zjazdu z A4. Usłyszawszy, co kumpel ma mu do przekazania, Robert niespokojnie się poruszył.

– Monikę? Proszę o szczegóły – zaciekawił się, gdyż Monika Pietruszko była psychologiem policyjnym współpracującym z więźniami, między innymi podczas przesłuchań.

Absolwentka Psychologii na Uniwersytecie Wrocławskim znalazła zatrudnienie na komendzie powiatowej tej małej miejsciny z powodu stosunkowo niewielkiej konkurencji. Teraz była moda na niestworzone choroby młodocianych, na depresję, nerwicę, a mało kto chciał się bawić z więźniami. Dlatego był to zawód całkiem dobrze płatny. Górski nie przypuszczał jednak, aby sprawa była aż tak poważna, dlatego poprosił o szczegóły.

– Nie potrafię tego dokładnie ubrać w słowa, ale w dużym uproszczeniu: mamy tu dwa trupy. – Kowalczyk nagle urwał, krzycząc do kogoś, aby się zamknął.

Tyle wystarczyło, żeby Robert nie pytał o nic więcej, choć był bardzo ciekaw, co takiego się tam wydarzyło, zwłaszcza że Szymon miał żelazne nerwy i rzadko kiedy się tak unosił. Przypominał sobie wtedy akcję w burdelu w Kaczorowie; jeden człowiek-roślina i dwóch rannych ochroniarzy.

Do diabła, wyślę tę Monikę, pomyślał.

– Jan Gawęł jest w złym stanie – dodał po chwili Szymon. – Zachowuje się w sposób nieprzewidywalny i będzie potrzebna interwencja osoby wyspecjalizowanej. Aktualnie podejmuję czynności wyjaśniające.

– Zrozumiałem, posyłam po doktor Pietruszko – odparł Górski. – Inne informacje?

– Brak świadków. Podejrzany jest właściciel restauracji.

* * *

Dominik Pienik przeżył w swoim życiu kilka chwil grozy, nie niebezpiecznych, ale takich, w których przeraża otaczająca człowieka rzeczywistość. Jedna z nich miała miejsce właśnie teraz, gdy cały we

krwi siedział przy drodze do Wilczyc, szczękając zębami. Chińska restauracja Ha Noi była zamknięta o tej porze, dlatego nie miał gdzie się zatrzymać. Właściwie Hanoi to stolica Wietnamu, dlaczego więc mówi się „chińska restauracja”? Bo wszyscy Azjaci wyglądają tak samo?

Pogoda również nie napawała optymizmem. Zaczęło kropić, nieznacznie, lecz wystarczająco, aby po kilku minutach marszu między polami przemókł do suchej nitki. Czerwone plamy na ciele nie chciały jednak schodzić, kurczowo trzymając się jego ubrania. Chmurne niebo przesłaniało ćwiartkę księżyca. Było to na swój sposób urocze, a jednocześnie takie przerażające, że zwykle drogowskazy przyprawiły go o paraliż kończyn (a może to chłód?). Najchętniej ubrałby kurtkę, gdyby tylko nie została w wozie.

Tak, zostawił wóz na parkingu, a raczej oddał go nieznanemu. Oddał, zostawił – wszystko jedno – na pastwę tego...

...klauna...

...umalowanego człowieka w dziwnym garniturze. *Kto wkłada garnitur do przydrożnego baru?*, pomyślał. *Kto, do cholery ubiera się w CZERWONY garnitur?* Przypominało to trochę Zenka Martyniuka, który ze swoim disco polo stał się sławniejszy od Taco Hemingwaya. Swoją drogą ta uśmiechnięta twarz budziła w nim nieopisaną złość. Słuchając disco polo na weselu, nie różniłeś się wiele od biednego zjadacza chleba, który chciał zabawić się chwilę w dobrym towarzystwie. Sądził tak, aczkolwiek samemu nie był nigdy na żadnym weselu jako gość. Czasem dorabiał w restauracjach podczas przyjęć okolicznościowych i wtedy właśnie widział tych tańczących ludzi, którzy śpiewali tak tandetne piosenki, jak *Przekorny Los* czy *Oczy Zielone*.

Teraz nie miał wątpliwości, że cała ta szopka z disco polo jest tak płytka, że najchętniej wybiłby im wszystkim zęby podczas tych tańców. To właśnie uderzało go najbardziej w tym wszystkim; na weselu szczyrzyli zęby w uśmiechu, a na papierosie zgrzytali nimi, wyzywając wokalistę Akcentu.

To po cholerę do tego tańczycie?!, chciał ich zapytać, ale przy drogowskazie z napisem „Krotoszyce 3” nie było nikogo z wesela.

Nie poprzestał na tych rozmyślaniach. Od czasu do czasu, jakby wbrew własnej woli, mrugając jednym okiem, to drugim, Dominik Pienik zachowywał się jak małolat.

– Te gnojki jedne! Jak można słuchać takiej muzyki? Słuchać można... no dobrze... można słuchać, ale jak można do tego tańczyć? To zwykle przeskakiwanie z nogi na nogę, kiwanie się to w jedną, to w drugą stronę, a nic poza tym. – Jego monolog trwał w najlepsze, podczas gdy zerwał się lekki wiatr ku zachodowi, uderzając deszczem w twarz nocnego wędrowca.

– Disco polo to obraza blusa i rock'n'rolla! – grzmiał, postępując noga za nogą w stronę Krotoszyc, jakby zapominając, co wydarzyło się przed niecałą godziną. – Cholerni artyści. Ale artyści to ledwie wierzchołek góry lodowej. Przecież ktoś ich słucha, ktoś ich kupuje i daje ten cały hype na taką muzykę. Niech oni wszyscy wsadzą sobie te mikrofony do gardeł i udławiają się jak Angela White!

Doszedł do wspomnień swojej młodości, coraz bardziej wpadając w amok grożenia tym, których już przy nim nie ma. Wspominał wychowawcę sierocińca, w którym się wychowywał, wspominał kolegów, którzy nie dopuszczali go do zabawy, a nawet się z niego śmiali. Wygrażał nawet zwykłym strachom na wróble w Nowym Kościele, gdzie pewnego razu zabrano ich na wycieczkę do gospodarstwa agroturystycznego. Wystraszył się przerażającej postaci, która – wypchana sianem – przypominała Smakosza z horroru.

I tym sposobem doszedł do punktu wyjścia, którym była wizyta w barze jednookiego Janka.

Mężczyzna w czerwonym garniturze zmasakrował Filipa Stachowiaka i Patryka Raczyńskiego... Wykończył też Janka Gawła, a potem zabrał Dominikowi samochód. Do jasnej cholery, powinien to zgłosić!

Deszcz coraz bardziej smagał jego twarz, utrudniając orientację w terenie. W oddali usłyszał sygnał karetki i kątem oka dostrzegając światła kogutów policyjnych radiowozów na krajowej 364. Jechali tam, do baru Via, gdzie to wszystko się zdarzyło. Gdzie dopiero co grał w karty, a gdzie teraz znajdują się trzy trupy. Ale Stachowiak zasłużył. Debil na sterydach... kanciarz! Kantował w żywe oczy, o czym wspominał...

...morderca...

...mężczyzna przy ladzie. Wspominał o tym, jak gdyby wiedział... a potem on też to wiedział, razem z nim. Wiedział o ukrytych kartach, podobnie jak Jan Gawel. Nieuczciwe skurwysyny! Zabiłyby ich... Jednak tego nie zrobił, ale i tak nie był bez winy. Zamiast zrobić cokolwiek,

myślał jedynie o tym, żeby ratować własną skórę. Strach paraliżujący jego ciało utrudniał mu oddychanie, przez co szło mu się coraz gorzej.

I tak nikt by nie dał wiary w to, co się stało. Kto uwierzy taksówkarzowi? Jak znajdą tam gliny, zastaną trzy ciała, a potem dopiero powiążą to z... No właśnie, kurwa, z niczym nie powiążą. Na tym zadupiu nie ma nawet monitoringu, a kamery w barze to atrapa.

Chryste.

Nie ćpał ani nie pił, tylko grał; to był kolejny zwykły wieczór przy grach. Jak na dobrego obywatela przystało, wstawał co rano do pracy, niezależnie do której godziny pracował nocą. Jadał zdrowe śniadania i obiady, czasem kupowane na szybko w Auchanie lub Żabce, kolacje spożywał skromne, najczęściej zwykłe bułki z serem.

Uwielbiał filmy i seriale.

Tak, Dominik Pienik był ostatnim, którego można nazwać „złym człowiekiem”. Nigdy się nawet nie bił, dlatego, kiedy Filip ruszył na wymalowanego gościa, jemu nogi ugięły się w kolanach, więc usiadł z powrotem. A potem się zaczęło...

...piekło...

...zaczęła się zabawa na całego.

* * *

Bartosz Nowicki bawił się w najlepsze. Była to dla niego nowość, że w Legnicy można tak poszaleć, nigdy nie uważał tego miasta za specjalnie rozrywkowe. Wrocław to co innego.

Kiedy przekraczali próg Pijalni Wódki i Piwa, Bartek miał silne postanowienie, aby się nie stoczyć i trzymać dziś fason. To on tego wieczoru występował w roli kierowcy i dwa piwa, które zdążył już wychylić, były wszystkim, na co mógł sobie pozwolić. I chociaż zapach dobrego alkoholu, w postaci drinków z whisky, był bardzo kuszący, Bartek nie skusił się na nic mocniejszego.

O dziwo nie potrzebował alkoholu. Rozluźnił się i poddał rytmom puszczanej muzyki, w której dominował polski rap. Przewinął się Białas, Sokół i Paluch, reszta mu umknęła lub też ich nie znał, nie siedział bowiem w rapie tak bardzo, jak jego koledzy. Wolał bawić się w klubach z muzyką elektroniczną, przy rytmach znanych amerykańskich DJ-ów.

Za to nie umknęły mu piękności siedzące przy barze.

Większość dziewczyn po szkole uciekała z Legnicy do Wrocławia. Te, które zostawały, najczęściej w wieku dwudziestu paru lat miały już dwojkę dzieci i kilku partnerów w swoim życiorysie – takimi Bartosz się nie interesował. Dlatego też w tego typu barach spotykało się głównie nastolatki bawiące się za kasę rodziców.

Młodszym można było łatwo zaimponować. Studia? Praca? Wszystko jedno. Same starały się pociągnąć temat, próbując udowodnić, jakie to są dorosłe. Wystarczyło dobrze wyglądać. Bartosz był dobrą partią – wysportowany student, dorabiający jako kurier.

Znał się na zasadach tej pokręconej gry, w której było się albo wygranym, albo przegranym, bez szans na drugie miejsce. Kiedy rozmowa schodziła na tematy studiów, dziewczyna uważała go za inteligentnego, a sama udawała mądrzejszą niż była w rzeczywistości. W przypadku jego kumpla Adriana było jeszcze łatwiej, bo gdy tylko dowiadywała się, że pracuje, od razu przechodziła dalej – kto w tych czasach nie chciałby stabilności?

Rozumowanie niektórych kobiet było wręcz karykaturalne, rodem z żartów o blondynkach. Takim najłatwiej można zaimponować. Tak więc Pijalnia była najlepszym miejscem na wyrwanie chętnych osobniczek płci pięknej.

Bartosz nie zdawał sobie jeszcze sprawy, jak bardzo wszystko może pójść nie tak w ciągu ledwie jednego wieczoru. Skupiając się na rozmowie z jedną z poznanych nastolatek, zupełnie zapomniał o tajemniczym mężczyźnie przy autostradzie.

– Tak, studiuje na AWF-ie, we Wrocławiu – powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha do dziewiętnastoletniej Angeliki. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, jak działa na laski w swojej koszuli Wrangler, która odpowiednio eksponowała jego umięśnione ciało.

Tym razem nie było chyba inaczej.

Jego rozmówczyni wyglądała na starszą, niż wskazywał numer pesel. Gdyby nie zapytał na początku rozmowy o wiek, z pewnością poruszyłby temat jej pracy lub kierunku studiów.

– Interesujące. – Dziewczyna starała się zachować poważny ton, żeby wyjść na bardziej dojrzałą. – Na sportowej uczelni są chyba pewne kryteria, co do zdrowego stylu życia? Tacy wysportowani... sportowcy, muszą pewnie odżywiać się odpowiednio i nie imprezować co weekend po klubach?

– Owszem – skłamał z uśmiechem na ustach, ale nie było mu ani trochę przykro z tego powodu. Głupia dziewczyna, myślała, że świat jest zero–jedynekowy, czarny lub biały, a studenci sportowych uczelni są zawsze porządnymi facetami. – Nie można sobie pozwolić na objadanie ciastkami, czy zapijanie się w trupa. Mamy wiele zajęć na pływalni i siłowni, więc trzeba zachować w miarę trzeźwą głowę.

Tyle wystarczyło, aby naiwna brunetka zrobiła do niego maślane oczy, co Bartek skrzętnie wykorzystywał. Pozwolił sobie na ukradkowe spojrzenia na jej figurę. Dziewczyna podciągnęła jeansy pod sam pępek, aby uwydatnić tym samym swoje kształty.

– Cóż, na uczelni jest zupełnie inaczej niż w liceum. Może masz jakieś pytania, co do AWF-u? Za niedługo matury, trzeba będzie coś wybrać – brnął dalej, mając przeczucie, że wszystko zmierza do szczęśliwego zakończenia.

Nie pił za wiele, więc wiedział, iż stanie na wysokości zadania, co po alkoholu było niezmiernie trudne, a i o wpadkę łatwiej.

– Och, na pewno znajdziemy jeszcze inne tematy do rozmów! – Zaśmiała się. Jej stwierdzenie było nieco na wyrost, gadali przecież dopiero od kilkunastu minut, przebrnąwszy ledwie przez temat studiów.

– To może pogadamy o zainteresowaniach? – zasugerował.

– A może się przejdziemy? – rzuciła nagle dziewczyna, co wywołało niespodziewane oburzenie siedzącej obok blondynki.

* * *

Aleksandra bardzo dobrze знаła swoją przyjaciółkę i doskonale wiedziała, że Angelika, z co drugim chłopakiem, chciałaby spędzić resztę życia. Była naiwna i często jej to powtarzała.

Znały się od przedszkola i choć nie chodziły do tych samych szkół, to wciąż utrzymywały ze sobą stały kontakt. Łatwowierność i uległość Angeliki kontrastowały z silny, dominującym wręcz charakterem Oli. Kiedy wytykała przyjaciółce, że zbyt łatwo ulega facetom, dając się im wykorzystać, ta się obrażała, ale koniec końców wracała z płaczem, ponieważ okazywało się, że Olka zawsze ma rację.

I tym razem również Ola siedziała i obserwowała rozwój sytuacji, nie odzywając się ani do Bartka, ani do jego kolegów, dopóki Angelika nie wyskoczyła ze swoją propozycją.

Jej koleżanka lubiła bawić się w podchody z chłopakami. Sprawiało to, iż jej poczucie własnej wartości rośnie. Każdy kolejny wybraniek na randce wydawał się jej być dłuższą znajomością, przez co powoli gubiła się w rozmyślaniach o tym, co będzie po randce. Ola doskonale to rozumiała. Podczas wieczorków w „babskim” gronie niejednokrotnie żaliła się jej ze swoich zawodów miłosnych, rozpamiętując namiętne pocałunki, jakimi częstowali ją jej partnerzy. Kończyło się to tak szybko, jak się zaczynało.

Teraz była świadkiem kolejnego popisu naiwności Angeliki.

– Gorąco tu. Porozmawiamy na zewnątrz? – rzuciła jeszcze jej przyjaciółka w kierunku Bartosza.

– Angela! – oburzyła się Aleksandra.

* * *

Z perspektywy Bartosza, tak nagła reakcja Aleksandry była zdumiewająca. Z jednej strony zwęszył kłopoty w mile zapowiadającym się wieczorze. Z drugiej, zniecierpliwiony głos Aleksandry świadczył tylko o dosyć częstym interweniowaniu w podobnych sytuacjach. Zareagował na to jedynie uśmiechem i wyczekiwał dalszego rozwoju sytuacji.

* * *

– Uspokój się – wysyczała Angelika – to tylko spacer.

O czwartej w nocy robi się najczęściej inne rzeczy, aniżeli spaceruje i Aleksandra wiedziała o tym lepiej, niż ktokolwiek inny. Dorabiała jako dyspozytorka taksówek. Zatrważająca ilość wezwań od klientów pochodziła z legnickich hoteli i moteli znajdujących się na obrzeżach miasta.

Głupia, zakpiła ze swojej koleżanki, która w asyście dopiero co poznanego chłopaka, opuszczała właśnie lokal.

Mimo szczerych chęci nie zdołała powstrzymać jej przed wyjściem na świeże powietrze.

Była tym nieco skołowana i dobry humor, jaki zabrała dzisiaj do Pijalni Piwa, prysł niczym bańka mydlana. Na dodatek nie była sama w tym wszystkim. Jeden z kolegów Bartosza – miał na imię Adrian – przysunął się bliżej niej, jednoznacznie dając do zrozumienia, iż chce

podjąć rozmowę. Nie była chętna na pogawędki, czemu dała upust, reagując lakonicznie na jego próby pociągnięcia rozmowy.

* * *

– Słyszałem, że macie dosyć przyjemny rynek – zagadał, gdy szli przez miasto.

Niech mówi, pomyślał, *niech się wygada, to nigdy nie jest zły pomysł.*

– Może opowiesz mi coś o Legnicy, czego mogę nie wiedzieć? Taka bystra dziewczyna, obeznana w uczelniach wrocławskich, musi dużo wiedzieć o swoim mieście.

I faktycznie Angelika wiedziała dosyć sporo.

Nie była może zbyt inteligentna, ale za to znała podstawową historię miasta. Wiedziała, co aktualnie wystawiano w Teatrze im. Heleny Modrzejewskiej oraz kto był radnym miejskim. Nie lubiła burmistrza i miała swój światopogląd na sprawy legnickie. Szczególnie narzekała na Legnickie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i ich możliwości oczyszczania dróg zimą.

W innej sytuacji być może uznałby, że rozmowa z nią może być ciekawa, jednak tej nocy Bartosz Nowicki miał inne priorytety. Zamierzał pozbyć się gumki, którą chował od wieczora w swoim portfelu. Auto zaparkował za galerią, niedaleko której znajdowała się Pijalnia. Jego plan polegał na okrążeniu rynku i dostaniu się w pobliże samochodu. W nocy nikt się nie kręci w tej okolicy. W samochodzie zacznie ją zasypywać komplementami, a następnie zrobią to na przednim lub tylnym siedzeniu.

Założenia były po prostu idealne, a wykonanie – przyjemne.

Krążyli więc po centrum legnickim, swoją drogą niezbyt wielki i podobnym do tego w rodzimej Złotoryi. Po milej pogawędce nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia, która nieco odebrała pewność siebie młodej dziewczynie.

– Pokazać ci coś? – zapytał, sięgając do kieszeni spodni, w których krył się klucz do samochodu.

Znajdowali się już na skraju rynku, mając za sobą Cyrus Kebab.

– Co takiego?

– W schowku mam kilka pocztówek z Warszawy. W wakacje byliśmy z kumplami z roku na zawodach w pływaniu. Udało się zwiedzić

to i owo. – Poczłówek jednak tam nie było, za to znajdowały się szlugi Adriana i parę innych rupieci.

Angelika pozwoliła sobie otworzyć drzwi. Krew buzowała mu w głowie, podczas gdy jego wybranka z pewnością miała w niej same romantyczne skojarzenia, rodem z *Zakochanej złoŃnicy*. Następnie zamknął za nią drzwi i pozwolił sobie na chytry uŃmieszek. Bartosz wsiadł od strony kierowcy. Wyglądała na uradowaną, kiedy dalej opowiadał o Warszawie i jej atutach, jako stolicy.

Bartosz wspiął się na wyżyny swoich możliwości, przyrównując pracę tamtejszych radnych, do radnych z Legnicy. Gdyby teraz widział go Roman Polański, to pogratulowałby mu zdolności aktorskich.

– Nie ma ich. – Udawanie zaskoczenia i rezygnacji przyszło mu tak łatwo, jak odgrywanie roli grzecznego chłopca. – Cholera, byłem pewien, że tutaj są.

– Spokojnie, nic się nie stało – Angelika pożerała już go wzrokiem, podobnie jak on ją wzrokiem rozbierał.

– Można porobić inne rzeczy, niż oglądać pocztówki. – Bartosz się uŃmiechnął.

Zbliżył powoli swoje usta ponętnych warg. Ujął jej rękę w swoją dłoń, a w tym czasie ona odwzajemniła pocałunek. Magia trwała w najlepsze niczym w wigilijny wieczór. Jego myśli krążyły wokół jej ciała – może nienależącego do modelki, ale z pewnością dającego rozkosz.

Westchnęła w przyływie podniecenia.

Chłopak znał tę reakcję. U kobiet działało wszystko automatycznie, trzeba było tylko umieć dojrzeć ukryte znaczenia.

W tym wypadku zlekceważył kolejny krok, jaki powinien był wykonać, a więc odwrócenie jej uwagi. Miał zacząć od komplementu oczu i smaku jej ust, następnie zając się jej ramionami i piersiami, nie zapominając o pieszczaniu ustami szyi.

Dopiero po tym kroku mógłby się zdobyć na kolejny pocałunek, a jego dłonie powędrowałyby coraz niżej, aż do samych jeansów.

Jednak zlekceważył zasadę drugiego kroku, co było niewybaczalnym błędem.

– Przestań – powiedziała Angelika słodko, lecz stanowczo, zabierając jego rękę ze swojego uda. Momentalnie przestała też odwzajemniać jego pocałunki. Przybrała kamienny wyraz twarzy, a z jej oczu bił ogień zażenowania.

– Coś się stało? – zapytał, starając się ją pocałować w szyję.

No tak, cholerny drugi punkt, pomyślał.

– Masz takie piękne oczy... – Usilnie starał się ratować sytuację. Ale dziewczynie już coś nie pasowało.

Zapomniał na chwilę o odgrywanej roli „grzecznego” chłopca, któremu nie zależy na przespaniu się z nią. Być może właśnie to zaważyło w tej sytuacji, którą starał się rozpaczliwie obrócić na swoją korzyść. Wyczuwał, iż przejrzała jego rzeczywiste zamiary i cały plan szlag trafił.

Bo plakietkę grzecznego chłopca można zakładać i zdejmować wedle uznania.

– Przezań – powtórzyła bardziej stanowczo. Kiedy ręce Bartka wciąż błędziły po jej ciele, wyrwała się z jego objęć i dodała: – Myślę, że powinnam już wrócić. Będę w Pijalni, jakbyś chciał jeszcze pogadać o Legnicy. – Jej słowa zabrzmiały niezwykle emocjonująco, jak gdyby zawiodła się na własnej matce lub ojcu.

Tak, mógłbym być twoim tatusiem, pomyślał w zamian Bartek i puścił jej rękę.

Chłopak obserwował, jak otwiera drzwi i wychodzi z samochodu, w kierunku baru. Domyślał się, że jej zachowanie podyktowane jest dosyć nieprzyjemnymi sytuacjami z przeszłości. Wszystko na to wskazywało. Nie przejął się tym zbytnio, gdyż z reguły zwykł patrzeć tylko na siebie.

Dziewczyna wyszła z nim z Pijalni, rozmawiali, a nawet przeszli do samochodu. Cieszył się mimo wszystko, że przebrnął przez cały ten etap bez zdradzania swoich rzeczywistych zamiarów. Jak to mówią: trening czyni mistrza! Noc jednak nie była taka, jak sobie zaplanował. Jak coś ma się spieprzyć, to spieprzy się po całej linii. Ze skwaszoną miną przyglądał się, jak jej piękny tyłeczek kieruje się w stronę głównej ulicy, gdzie znajdowała się Pijalnia Wódki i Piwa. Początkowa uciecha, iż zaszedł tak daleko, ustąpiła miejscu lekkiego przygnębienia. Nie udało mu się wykonać w pełni planu i to najbardziej go dotknęło.

Niedoszły szczęściarz siedział nadal w swoim kombi i z rezygnacją wpatrywał się w ulicę przed sobą, jak gdyby przeszła mu ochota na imprezowanie.

Czasem zaskakiwał sam siebie i umawiał się na randki, licząc, że nawiąże z kimś bliższą relację, ale nie miało to najmniejszego sensu.

W prawdziwą miłość wierzył w gimnazjum, może nawet na początku liceum, ale nie na studiach. Uczelnia i duże miasto bardzo go zmieniły, czasem znajomi go nie poznawali, kiedy wracał do rodzinnego miasta. Dużo się tam nauczył o relacjach damsko-męskich, szczególnie na pierwszym roku. Wdał się wówczas w „przyjacielską” relację z pewną dziewczyną. Nawet nie wiedział, czym się zajmowała. Po prostu niczym Casanova z AWF-u poszedł z nią do łóżka i stracił dziewictwo.

Dobrze, że nikomu się do tego nie przyznał.

Później trafiały się przelotne znajomości z dziewczynami z roku, a kiedy napisał licencjat – również z młodszymi. To były w końcu najlepsze lata jego życia, musiał korzystać. Już teraz czuł upływający czas. Lata spędzone na pływaniu odbijały się na jego barku, powodując uciążliwe bóle, skutkiem czego musiał się rehabilitować za stypendium, które dostawał.

Na studiach przekonał się nie tylko do seksu bez zobowiązań, ale także do alkoholu. Jednak im bardziej w to brnął, tym coraz częściej dochodził do wniosku, że długo w ten sposób nie pociągnie. Nie chciał powiedzieć tego tak dobitnie, jak powiedziałyby jego ojciec: „Robię się na to za stary!”

* * *

*Amator*ka, pomyślał, opierając się o maskę swojego pojazdu.

Obserwował parę w samochodzie i podejrzewał, że zakończenie tego wieczoru będzie dla chłopaka całkiem przyjemne. Wyszczерzył nawet swoje ostre, białe zęby, radując się jego szczęściem. Wyczuwał emanującą stamtąd energię, moc, jaką daje seks młodych ludzi; pożądanie niczym z dobrego filmu. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a jego blizny prawie rozrywały się na policzkach. Mógł niemal poczuć wilgoć tej młodej dziewczyny siedzącej w samochodzie. Sycił się nią jeszcze bardziej niż energią chłopaka. Może dlatego, że była naiwna, a może po prostu dlatego, że była płci pięknej.

Potrzebował tego – tego zapachu, tych gestów, mogących przywołać wspomnienia pchające go naprzód w tym przeklętym świecie.

Zapamiętał samochód, zapamiętał tablice oraz kierowcę. Kombi było stare, prawdopodobnie rocznik dwa tysiące siódmy, a jednak w miarę przyzwoite, chociaż od spodu przeżarte przez rdzę.

Zapewne kumple chłopaka siedzieli jeszcze w barze naprzeciw centrum handlowego, lecz w tej chwili nie miało to znaczenia. Wyciągnął z taksówki paczkę fajek należących do poprzedniego właściciela pojazdu. Nasycił się ich rakotwórczym smakiem.

Obserwacja chłopaka sprawiała mu ogromną satysfakcję. Przypominał sobie lata swojej młodości, kiedy to miał okazję parę razy spotkać się z dziewczyną, której nie odstraszał jego wygląd. Były to zwykłe spotkania, nastoletnie miłości, czasem dla śmiechu rówieśników, czasem z ciekawości. Nigdy bowiem koleżanka ta nie obdarzyła go prawdziwym uczuciem.

Na wspomnienie bolesnych przeżyć mina nieco mu zrzedła, a papieros opadł poniżej linii ust. Nie czekając, aż wypadnie całkiem, palcami nastawił sobie minę w górę, tym samym ratując niedopałek. W międzyczasie koleżanka wyszła z samochodu, a kierowca chwilę siedział samotnie.

– Dziewczyna nie chciała, ale za to ja, jaką mam ochotę.

Jak się okazało, starania chłopaka okazały się bezowocne, co tylko poprawiło humor mężczyźnie w czerwonym garniturze. Usłyszał już głos komentatora sportowego, krzyczącego podnieconym głosem: Nie! Nic z tego nie będzie! Co tu się dzieje, proszę państwa! Tak, nic z tego nie będzie, a przynajmniej nie teraz i... chyba... już nigdy.

Upatrzyszwy sobie cel, nie był w stanie go porzucić. To było jak nałóg, jak widok dobrego jedzenia, na które masz niepohamowaną ochotę. Pragniesz kupić kęs tego dobrego mięsa i delektować się nim najdłużej, jak tylko potrafisz.

Młode mięso.

* * *

Bartosz wysiadł z auta i sięgnął po papierosy.

Potrzebował nikotynowego kopa. Plany na tę część nocy odeszły w zapomnienie, co nie było przyjemnym doświadczeniem, a wręcz katastrofalnym. Zdarzało się to już wcześniej, a jakżeby inaczej. Jednak Bartosz Nowicki nie załamywał się; czy wygrywał, czy przegrywał, zawsze uważał, że trzeba być optymistą. *Szklanka jest do połowy pełna*, pomyślał i w głowie zaczął mu kiełkować inny plan, inne możliwości.

Uwielbiał planować.

Jego zdolności organizacyjne zawsze przynosiły mu jakieś korzyści. Podobnie było w przypadku balu licencjata, który miał miejsce w marcu, przed podejściem do obrony pracy licencjackiej. Wtedy to udało mu się znaleźć odpowiednią salę, załatwić zniżki i idealny zespół, który grał największe hity znanych kapel. Dzięki temu dziekan patrzył na niego przychylnym okiem – korzyść z tego była nie do opisania: mógł na przykład pozwolić sobie na nieusprawiedliwione nieobecności na zajęciach. Wyznawał zasadę, iż w każdej dziedzinie życia trzeba się odpowiednio ustawić.

Patrząc na jego powodzenie u kobiet, miało się wrażenie, że przestał budzić już taką sympatię, jak na początku studiów. Jego twarz naznaczona była już czasem i dosyć imprezowym stylem życia. Z zaściankowej osobistości stał się tylko zaściankowy. Gdyby popracował nad swoim wyglądem, regularnie ścinał włosy, zapuścił brodę, być może miałby szansę zostać modelem.

Nagle latarnie po stronie ulicy, gdzie stał samochód Bartka, zamigotały, po czym nienaturalnie się rozjarzyły, a smugi światła rozmyły z nadmiaru energii, podczas gdy po drugiej stronie cały czas świeciły normalnie. Przecież w Legnicy nie mogło nastąpić przesilenie energetyczne, tutaj dominowały braki prądu i częste skargi do elektrowni.

Mocne światło odbijało się od czarnego mercedesa zaparkowanego naprzeciwko Bartka prosto w jego wrażliwe oczy.

Chłopak zaklął na głos.

W dodatku nie miał zapalniczki, co uważał za rzecz niedopuszczalną, zwłaszcza gdy człowiek wybiera się na imprezę.

Kawałek dalej stała zaparkowana taksówka, zaraz obok tabliczki z napisem TAXI. Bartek przez chwilę obserwował pojazd, po czym stwierdził, że – o ile wzrok go nie myli – stoi przy nim jakaś postać, która pojawiała się i znikwała, niczym wywoływany pokémon. *Do diabła*, pomyślał, *przecież nie wypilem tak dużo*. Może to wyłącznie złudzenie wywołane migoczącymi latarniami. Przeklęte lampy, zachowywały się, jakby zwariowały. To tylko jeszcze bardziej drażniło studenta z wielkiego miasta. Nie znosił, jak coś nie działało – jak nie szło po jego myśli. Bo jak nie szło po jego myśli, to znaczyło, że szło do dupy.

Postąpił kilka kroków naprzód. Jednym z butów przypadkiem dotknął odchodów jakiegoś psa. Skrzywił się tylko.

– Miałby pan ogień? – zwrócił się do mężczyzny stojącego przy tak-sówce.

Kiedy ten zrobił pierwszy krok w stronę Bartka, jego postać stała się wyraźniejsza i chłopak dostrzegł, że ma on na sobie czerwony garnitur.

Teraz nieznajomy wydał się chłopakowi ostatnią osobą, którą można by poprosić o ogień. Jego charakterystyczny ubiór nie pasował ani do otoczenia, ani pogody. W miarę, jak facet zbliżał się ku niemu, uwagę Bartka przykuła dziwna twarz – wypisz wymaluj z komiksów o Batmanie i Jokerze.

Czubków nie trzymają na Szpitalnej?, pomyślał. Nie, nie... teraz wypuszczamy ich między ludzi, w ramach oswojenia z otoczeniem. No tak! Cały świat tak już zwariował, że należy tylko otworzyć psychiatryki. Gość z pomalowaną na biało mordą i szminką na ustach był zupełnie normalny. Do tego ogłuchł.

– Proszę pana? – Bartosz zastanawiał się przez chwilę, czy aby na pewno ma do czynienia z realną osobą. Światło rozmywało z lekka twarz mężczyzny, na dodatek lampy po drugiej stronie ulicy również zaczęły migotać.

– Tik tak... tik tak... – Dobiegł go głos mężczyzny. Usłyszał to niemal tak wyraźnie, jak słyszy się dźwięk alarmu przed ważnym dniem. Pobudzająco, wręcz poganiająco.

W pierwszej chwili był przekonany, że się przesłyszał, ale przecież nie był pijany – powtarzał sobie uparcie. Miał wrażenie, że głos nieznajomego wdzierają się do jego umysłu – słabego, obciążonego porażką z młodą dziewczyną, której nie potrafił owinać sobie wokół palca.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego, szeroko, ukazując bruzdy na policzkach, niczym Joker w trylogii Christophera Nolana.

Boże, on ma bruzdy na twarzy. Teraz dopiero dostrzegł je wyraźnie. Wcześniej był przekonany, że to złudzenie albo zaschła farba, taka jak zazwyczaj gromadzi się, kiedy zbyt grubo pomalujemy ściany. Teraz stwierdził, że bruzdy te mogły tak naprawdę być pamiątką po więzieniu. A może zrobił sobie je sam, gdy wychodził na wolność ze szpitala? Cholera, że też musiałem na niego trafić.

– C-co? Co Pan powiedział?

Nieznajomy zaciskał zęby w szczerym, acz przerażającym uśmiechu. Wpatrywał się w Bartka dokładnie tak, jak myśliwy patrzy na

swoją ofiarę, nim odda strzał. Jego oczy były wyraziste, nieco zielonkawe. Bez słowa wyciągnął zapalniczkę z kieszeni spodni, nie odrywając od młodego chłopaka wzroku.

Nagle latarnie zgasły. Bartosz nerwowo rozejrzał się zaniepokojony. Gdy ponownie rozbrzły, nieznajomy stał tuż przed Nowickim, ale jego twarz pozostawała skryta w lekkim półmroku, do którego nie docierało światło lamp. Te nie wróciły szybko do poprzedniego stanu, co przyprawiło chłopaka o dodatkową dawkę strachu. Bruzdy skryły się w głębi twarzy, dzięki czemu Bartosz nie musiał ich oglądać.

– Mogę? – zapytał nieśmiało, wskazując na zapalniczkę, trzymaną na otwartej dłoni przez mężczyznę. Bartek chciał teraz tylko zapalić i wrócić do Złotoryi. – Wszystko gra? – spytał bardziej siebie niż obcego. Nie zawracając sobie więcej głowy, sięgnął po zapalniczkę.

Odpalając pall malla, zwrócił uwagę na dziwne zachowanie stojącego przed nim człowieka, który to dalej trzymał wyciągnięta dłoń i przybrał osobliwy wyraz twarzy. Napełniało to Bartka strachem, którego nawet nie próbował ukryć. Zrobił krok w tył, przez co znalazł się w dobrze oświetlonej części ulicy. Tymczasem nieznajomy dalej stał na swoim miejscu, a jego twarz emanowała dziwną bielą z domieszką czerwieni. Oczy wydawały się niewielkimi iskrami na tle szarego otoczenia, nie mniej tak naprawdę były nad wyraz czarne.

Bartek podświadomie spodziewał się tego, co miało zaraz nastąpić, dlatego napiął wszystkie mięśnie i wolną rękę schował do kieszeni, gdzie dzierżył klucze z mieszkania.

Kiedy był młodszy, zawsze tak robił, wracając ze szkoły do domu, zwłaszcza że droga ta często obfitowała w różne przygody. W pierwszej klasie był świadkiem, jak dzieciaki z szóstej pobiły jakiegoś mięczaka. Do domu wrócił z płaczem. Bał się, że i jego może coś takiego spotkać, więc od tego czasu trzymał w zaciśniętej dłoni klucze z domu lub z szafki szkolnej, a pięść chował w kieszeni spodni.

Teraz zrobił podobnie – Wsunął dwa klucze w palce i zacisnął je w pięści.

Nieznajomy jednak okazał się znacznie szybszy. Złapał Bartka za rękę, kiedy ten oddawał mu zapalniczkę. Przytrzymał ją i przyciągnął do siebie, a następnie poparzył sobie dłoń papierosem trzymanym przez chłopaka.

– Coś taki poważny? – W szczerym uśmiechu ukazał białe zęby. Dwa rzędy, gotowe zatopić się w gardle ofiary, jeśli tylko naszła nieznajomego ochota. – Nie bój się. Strach to pojęcie względne.

Mógł kopnąć mężczyznę w podbrzusze i uwolnić się z uścisku, ale Bartek nie myślał o uciekaniu. W jego głowie działało się coś w rodzaju powolnego transferu danych. Oto bowiem miał przed sobą tajemniczego człowieka o dziwnym, odpychającym wyglądzie, wpisującym się bardziej w standardy wariackowa, a nie zwykłego miasta. Nawet jeśli uciekać, to gdzie? Jak? Co zrobi ten człowiek? Te pytania, jak i wiele podobnych, zatamowały zdolność trzeźwego myślenia, przez co Bartosz Nowicki myślał jedynie o tym, jak bardzo zły dzień mu się przytrafił i jak bardzo źle może jeszcze być tej nocy.

Próbował się wyswobodzić, ale ciosy zadawane nieznajomemu okazały się za słabe. Nigdy nie był w tym dobry.

– Co do...? – zapytał jeszcze, nim mignął mu przed oczami zaokrąglony pojemnik o nieznanej zawartości. Wydzielająca się z niego woń nie zaliczała się do przyjemnych. Kwasowość była wyczuwalna nawet w tak deszczową pogodę.

Substancja wydzielająca się z niego spowodowała natychmiastowe odprężenie. Bartosz rozluźnił się, jego umięśnione ramiona zaś bezwładnie opadły wzdłuż tułowia. Papieros leżał już na chodniku, a chwile po nim znalazło się tam również ciało młodego mężczyzny. Twarz powoli wykrzywiała się w drgawkach, tworząc coś w rodzaju uśmiechu. Nie był jednak trwały. Wargi rozszerzały się i zwężyły, jakby nabierał i wypuszczał powietrze ustami. Przypominał rybę nad stawem osadowym, starającą się zaczerpnąć nieco wody.

Tymczasem nieznajomy wpatrywał się w niego uważnie. Rzędem ostrych zębów mógłby z łatwością odgryźć nawet bycze udo.

Bartosz poruszał delikatnie głową, to w lewo i prawo, jakby nie dowierzał temu, co się właśnie działo. Przeplatało się to z konwulsjami, jego kończyny wyginały się pod dziwnym kątem, jakby tańczył breakdance. Niezdarnie starał się usunąć zapach ze swoich nozdrzy, bezwładnie poruszając płatkami nosa, trzepocząc nimi jak ptaki skrzydłami, kiedy coś ugodzi je w dzioby. Z latarni spadła kropla i wpadła prosto do jego oka, sprawiając, że jego wzrok stał się rozmyty. Wywołało to u niego napad paniki, zwłaszcza że słuch również płał mu figle. Słyszał rytmiczne: tik tak... tik tak...

Sylwetka nieznajomego rzucała cień na jego ciało. Ocierając się o skąpane w deszczu podłoże, uderzał w nie raz po raz głową. Pojawiła się krew, lepka i nieprzyjemna, zmieszana z wodą, która dalej kapała z latarni w coraz większych ilościach, bo też deszcz zaczął padać intensywniej. Postać rozmywała się w jego oczach, ani trochę nie będąc zabawną, a jednak wyraźnie słyszał śmiech. Nie można się śmiać, mówiąc jednocześnie „Tik tak... tik tak...” – głos musiał należeć do kogoś innego.

Brawo!

Brawo, ty sukinsynu!

Należy do kogoś innego! Odgadłeś to! Ty! Ty jesteś genialny, panie Bartoszu. Pańskie kompetencje są niepodważalne, a umysł jasny i otwarty. Dobrze, skoro więc już ustaliliśmy, że głos nie należy do tego jegomościa, to teraz pozostaje się dowiedzieć do kogo.

Ktoś przyszedł i się z nich śmiał. Myśli, że jest pijany i wywalił się na prostej drodze.

Błąd!

To Angelika wróciła się do samochodu i widzi teraz, jak bardzo jest pijany. Bawi to ją, jest zadowolona, że tak kończy ten „dobry chłopak”, który okazał się zwykły dupkiem. W końcu karma to suka.

Błąd! Błąd! Po tysiäckroć BŁĄD!

Wybijałe ego nie dopuszczało do Bartosza jedynej prawidłowej odpowiedzi. Prędzej uwierzyłyby w jakiś spisek, tak jak istnienie iluminatów, masonerii czy innych tajnych stowarzyszeń. Ale nie! Bartosz Nowicki był w błędzie, ponieważ nic z tego nie było prawdą. Postawił na pudła.

Śmiech należał do niego.

– Coś taki nerwowy? – zapytał nieznajomy. – Nic się nie dzieje, och, nic takiego. Czasem trzeba po prostu wrzucić na luz. Wyobraź sobie, że wszyscy są tacy... szorstcy. Tacy poważni, jak ty byłeś do niedawna. Popatrz no! – ożywił się, a głos jego stał się bardzo opiekuńczy, jak jego matki, kiedy ten wracał pijany do domu. – Śmiejesz się z takiego powodu. Z upadku na chodniku. Co jest w tym takiego zabawnego? Powiesz mi? Powiedz, też się pośmieję.

Poddany nieznanemu zapachowi, Bartosz nie był w stanie obronić się przed atakiem drgawek. Ratunkiem byłoby chyba jedynie utracenie zdolności węchu, a ulgą znalezienie się w sterylnym pomieszczeniu.

– Kim... Kim jesteś...? Do cholery! – Głos młodzieńca się załamywał, a usta wykrzywiały w szerokim uśmiechu. Bartek odczuwał powoli chłód, tak jakby nigdy nie czuł ciepła. Sople lodu przenikały przez jego skórę, docierając do mięśni i kości. Wszystko to zlepiało się w strachu w jedną całość. Śmiech, uśmiech, nieznajomy. Tajemniczy zapach rozkoszy, który omal nie podziałał na jego krocze, jak gazetki dla dorosłych. Z niezwykle poważną miną, która zastąpiła uśmiechnięte oblicze, mężczyzna w czerwonym garniturze odpowiedział słodko:

– Jestem Dawcą.